

PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

PAŹDZIERNIK 1998 ISSN 1429-4494 Nr 7 (46)/98 ROK VI



Studenci Politechniki Gdańskiej,
finaliści międzynarodowego
konkursu internetowego ThinkQuest
(szczegóły: http://www. advanced.org/thinkquest/)
powracający z Waszyngtonu do Gdańska





Centrum Edukacji Niestacjonarnej PG, czyli *Distance Education Centre at Technical University of Gdansk* (DECTUG), zostało powołane przez Rektora Politechniki Gdańskiej 30 kwietnia 1997 roku.

Głównymi zadaniami DECTUG są:

- udostępnianie studentom Politechniki Gdańskiej wykładów i ćwiczeń w środowiskach LAN (*Local Area Network*), MAN (*Metropolitan Area Network*) i WAN (*Wide Area Network*),
- projektowanie i uruchamianie kursów w trybie ODL (*Open Distance Learning*) w dziedzinach istotnych z punktu widzenia rozwoju ekonomicznego i socjalnego regionu oraz kraju,
- promowanie nowoczesnych form kształcenia w trybie ODL, który umożliwia wybór dowolnego czasu i miejsca nauki, prowadzącego oraz zasobów edukacyjnych.

Od stycznia 1998 roku DECTUG bierze udział w projektach PHARE *Multi-country Programme in Distance Education.*



Pracownicy i współpracownicy DECTUG podczas pobytu w Washington DC, USA

(Fot. A. Grabowska i M. Suczyński)



"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej
Zespołu Redakcyjnego.
Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.
Wszelkie prawa zastrzeżone
Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz),
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Roman Niewęgłowski,
Adam Synowiecki, Joanna Szłapczyńska

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Stała współpraca:
Kronika Studencka i Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szłapczyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 31 sierpnia 1998 r.
Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać
w księgarni w Gmachu Głównym

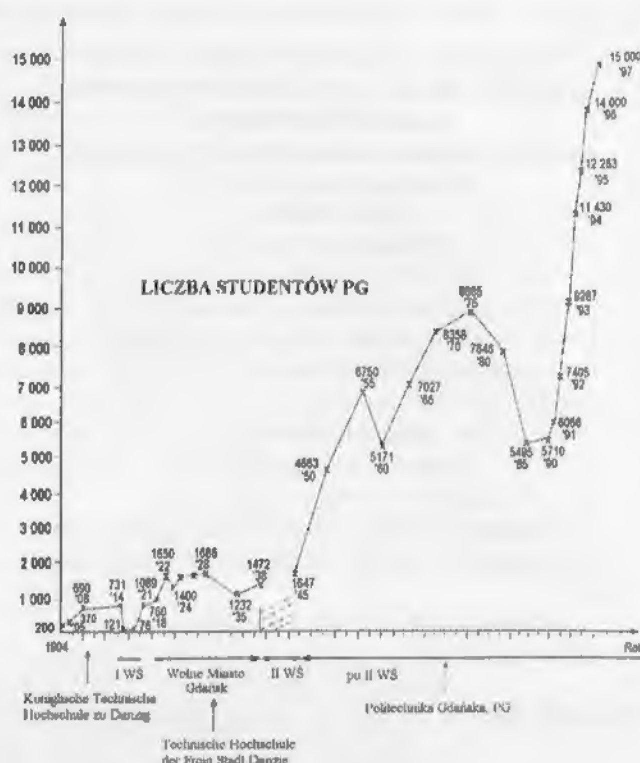
Spis treści

PRZYCZYNY KRYZYSU SZKOLNICTWA WYŻSZEGO W POLSCE

JAKIE JEST WYJŚCIE Z TEJ TRUDNEJ SYTUACJI?

"Aktualna sytuacja szkolnictwa jest istotnie alarmująca" - takie stwierdzenie padło na posiedzeniu Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego w dniu 13 listopada 1997 r. Ta ocena dokonana przez najwyższy wybieralny organ przedstawicielstwa szkolnictwa wyższego jest nie tylko zbieżna z obserwacjami środowiska akademickiego, ale pokrywa się z wynikami ubiegłorocznej kontroli NIK. Raport NIK szczególnie mocno uwypuklił brak inwestycji, które koniecznie powinny towarzyszyć tak szybkiemu wzrostowi populacji studentów, z jakim mamy ostatnio do czynienia. Najbardziej widocznym objawem zaniedbań inwestycyjnych jest walka studentów nie tylko o miejsca w laboratoriach, ale również w salach wykładowych. Jednak objawy kryzysu w polskim szkolnictwie wyższym są znacznie głębsze i nie zawsze z całą ostrością docierają do opinii publicznej i świadomości decydentów, ponieważ są często przedstawiane zbyt ogólnikowo, rzadko prezentują przyczyny stanu rzeczy i wydają się nierzeczywiste dla postronnego obserwatora zafascynowanego ogromnym przyrostem liczby studentów i nieprzeciętnym zainteresowaniem studiami w naszym Kraju.

Chociaż przyczyny kryzysu szkolnictwa wyższego w Polsce, przynajmniej częściowo, tkwią w okresie znacznie wcześniejszym niż lata dziewięćdziesiąte, to ze względu na ograniczone rozmiary tego opracowania, ocena uwarunkowań sprzed wielu lat może być jedynie zarysowana. Władze powojennej Polski, wbrew głoszonym pięknym hasłom, nigdy nie podjęły wysiłku wydźwignięcia edukacji w zniszczonym wojną i okupacją Kraju na poziom odpowiadający wymaganiom współczesnego świata. W czasach, kiedy państwa Europy Zachodniej, Ameryki Północnej i Dalekiego Wschodu widziały w edukacji najistotniejszy element stymulowania wszechstronnego rozwoju, władze krajów Europy Środkowej i Wschodniej starały się wszelkimi sposobami hamować potrzeby edukacyjne i aspiracje swoich społeczeństw, a w Polsce doszło do wyjątkowego zaniedbania edukacji. Potwierdzeniem tej oceny jest jeden z najniższych w Europie odsetek osób z wyższym wykształceniem, zacofana infrastruktura szkolnictwa, niezadowalający stan jego zaplecza, wyposażenia i kadry - dobieranej często na zasadzie negatywnej selekcji. Stan wojenny, wprowadzony w 1981 r., i późniejsze lata osiemdziesiąte pogłębiły kryzys w edukacji, powodując odpływ wielu najwartościowszych pracowników, pogłębiając wcześniejsze braki osobowe spowodowane poprzednimi czystkami politycznymi - represjami po powtarzających się protestach społecznych i zrywach niepodległościowych. Przemiany gospodarczo-polityczne, zapoczątkowane w 1989 r., wytworzyły dla szkolnictwa wyższego dobry klimat i dały możliwość realizacji nieskrępowanych inicjatyw. Rezultaty tych poczynań stały się szybko widoczne, mimo że, jak każda rewolucja, również ta bezkrwawa, jaka dokonała się w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych, wywołała głęboki kryzys prawie we wszystkich gałęziach gospodarki. Jedynie szkolnictwo wyższe okazało się chlubnym wyjątkiem, odpornym na niekorzystne oddziaływania występujące w początkowym okresie zmieniającego się systemu. Szybki rozwój szkolnictwa wyższego w pierwszych latach przemian polityczno-ekonomicznych należy uznać za ewenement, ponieważ kryzysy ekonomiczne i polityczne zwykle nie mają promującego działania na edukację. Silne i niezwykle negatywne oddziaływanie wszelkiego rodzaju kryzysów na edukację i jej podatność na tego rodzaju czynniki ilustruje zamieszczony wykres 1 zmieniającej się liczby studentów w czasie ponad dziewięćdziesięcioletniego istnienia Politechniki Gdańskiej. Widoczny na nim jest nie tylko drastyczny spadek liczby studentów wywołany wojnami, kryzysami ekonomicznymi (lata trzydzieste, druga połowa lat siedemdziesiątych), podwyżką opłat (czterokrotne podwyższenie czesnego w 1924 r.), a także kryzysami politycznymi (rok 1955, lata osiemdziesiąte - po wprowadzeniu stanu wojennego). Dlaczego wobec tego w czasie głębokiego kryzysu ekonomicznego początku lat dziewięćdziesiątych nie doszło w Polsce do gwałtownego spadku liczby studiującej młodzieży, a wręcz przeciwnie, od 1991 r. obserwujemy jej szybki wzrost?



Wykres 1. Zmiany liczby studentów w Politechnice Gdańskiej w latach 1904-1997

Szkoły wyższe, po otrzymaniu w 1990 r. autonomii, mimo znacznie obniżonych nakładów budżetowych (tab. 1) oraz utraty wsparcia ze strony przemysłu, rozpoczęły samodzielne zarządzanie dostępnymi środkami, wykorzystując - między innymi - wszelkie istniejące wówczas rezerwy. Dzięki temu, odpowiadając na apel władz państwowych i oczekiwania społeczeństwa, były w stanie w ciągu kilku lat ponad dwukrotnie zwiększyć liczbę studentów. Ten wzrost odbył się wyłącznie kosztem ogromnego wysiłku środowiska akademickiego, w bardzo niekorzystnych warunkach, gdyż - jak już wspomniałem - zostały znacznie obniżone dochody uczelni, zabrakło środków na nowe etaty i na konieczne inwestycje. Przyczyną

Tabela 1. Nakłady budżetu państwa na szkolnictwo wyższe w latach 1990-1998, [mln zł]

Rok	'90	'91	'92	'93	'94	'95	'96	'97	'98
Nakłady [a/] na SzW w zł bieżących	633	665	1011	1270	1626	2175	3002	3745	4241
Realne nakłady na SzW w zł stałych	**633**	**413**	**375**	**329**	**312**	**317**	**342**	**356**	**351**
Dotacja [a/] na dydakt. w zł bieżących	598	628	968	1222	1542	2079	2860	3532	3954
Realna dotacja na SzW w zł stałych	**598**	**396**	**317**	**296**	**303**	**326**	**326**	**335**	**328**
Wskaźnik wzrostu cen tow. i usług		170	143	135	132	128	120	115	111

[a/] Nakłady budżetu na szkolnictwo wyższe (SzW) przewyższają o kilka procent dotację na dydaktykę, w którą wchodzi też pomoc materialna dla studentów, fundusz remontowy i rozwoju.

obniżenia dotacji budżetowej na szkolnictwo wyższe był nie tylko przejściowy (1990-1992) spadek wartości produktu krajowego brutto (PKB), ale przede wszystkim świadome decyzje kolejnych rządów poszukujących środków na ratowanie działów gospodarki niezdolnych do przystosowania się do nowych wymogów ekonomicznych. Taki zabieg, chociaż trudny do zaakceptowania, dopuszczalny jedynie w warunkach zagrożenia bytu narodowego, musi być ograniczony do minimum. Oszczędzanie na edukacji zawsze prowadzi do tragedii narodowych. Dlatego też od momentu zauważalnego wzrostu PKB, nakłady na szkolnictwo wyższe nie tylko powinny wzrastać w podobnym tempie jak PKB, ale należało również wyrównać straty, jakie szkolnictwo poniosło na skutek decyzji podjętych w latach 1991-1992 (zmniejszenie realnych nakładów na SzW wynosiło odpowiednio 37 % i 9 %). Byłyby to minimalne przedsięwzięcia gwarantujące utrzymanie uprzedniego poziomu studiów w warunkach kształcenia zbliżonej liczby studentów. Jednak liczba studentów od 1991 r. szybko wzrastała i nadal wzrasta. Wieloletnie zaniżanie nakładów na szkolnictwo wyższe nie tylko wpłynęło na obniżenie jakości studiów, ale wywołało głęboki kryzys w dziale tak istotnym dla funkcjonowania i rozwoju państwa. Na podstawie szybkiego wzrostu liczby studentów władze przyjęły błędne, lecz wygodne dla siebie założenie, że szkolnictwo wyższe jest w stanie rozwijać się nawet w warunkach obniżonych nakładów. A może doszły do wniosku, że w poprzednim systemie SzW było zbytnio preferowane? Nie zauważyły, a właściwie nie chciały zauważyć (były informowane na bieżąco) jakie szkody wywołała znaczna redukcja dotacji budżetowej na szkolnictwo wyższe w okresie III RP. Szkody te są szczególnie trudne do naprawy, ponieważ - początkowo nie dla wszystkich widoczne - narastają z czasem i rzutują na przyszłe pokolenia. Ponadto obniżenie poziomu studiów w Polsce powoduje ucieczkę przedsiębiorczych studentów za granicę, często na stałe, tak jak się to już stało z wieloma naukowcami.

W odpowiedzi na moje wystąpienie zatytułowane: "Który z resortów budżetowych cierpi największą biedę" podsekretarz stanu Ministerstwa Finansów w przesłanym w dniu 10 lutego br. na ręce ministra Borusewicza liście stwierdziła: "nawet w najcięższym okresie dla finansów publicznych z przyczyn finansowych nie została zniesiona żadna szkoła....". Zgroza ogarnia na myśl, że znoszenie uczelni z powodów finansowych mogło być rozpatrywane w Ministerstwie Finansów III RP. Na szczęście nie doszło do zniesienia żadnej szkoły wyższej, pomimo usilnych starań (systematyczne obniżanie dotacji przy szybko wzrastającej liczbie studentów), a jest to zasługą przede wszystkim samego środowiska akademickiego, w tym władz uczelni, które wszelkimi sposobami starały się w tym najtrudniejszym dla finansów publicznych czasie utrzymać płynność finansową kierowanych jednostek, zapobiegać ucieczce kadry, przeprowadzać najniezbędniejsze remonty. A przecież nietrudno wyobrazić sobie sytuację, w której na skutek nieodpowiedzialności mogłoby dojść w SzW do takich zadłużeń, jakie występują w kopalniach, hutach, szpitalach i innych instytucjach. Według opinii MF minął najtrudniejszy okres dla finansów publicznych. My natomiast widzimy, że nastał znacznie trudniejszy dla finansów SzW, pomimo zapewnień kolejnych rządów o preferencjach dla tego działu. Brakuje środków na utrzymanie obiektów, na remonty, na godziwe pensje, na konieczne inwestycje. Jeżeli szkolnictwo wyższe nie otrzyma szybko zwiększonych nakładów, nam rektorom, jeżeli mamy być odpowiedzialni, nie pozostanie nic innego, jak tylko drastyczne ograniczenie liczby nowo przyjmowanych na studia.

Spadek realnych nakładów na potrzeby polskiego SzW trwał nieprzerwanie do 1994 roku, pomimo że już w 1993 roku zanotowano wyraźny wzrost wartości PKB. Później, łącznie z rokiem bieżącym, nastąpiła stagnacja (tab. 1), przy czym lata 95-96 nazwane zostały przez MF okresem finansowej preferencji SzW. **W rzeczywistości realne nakłady na szkolnictwo wyższe w 1998 r. stanowią jedynie 55 % nakładów z 1990 r.**, a przed laty istniało znaczne, dodatkowe wsparcie z przemysłu i liczba studentów dziennych sięgała wtedy jedynie 60 % obecnego poziomu. Przy szybko zmieniającej się liczbie studentów dotacja przypadająca na jednego studenta jest bardziej miarodajną wielkością porównawczą (tab. 2). **Dane zawarte w tabeli 2 są alarmujące. W ciągu lat dziewięćdziesiątych nastąpił ponad trzykrotny spadek realnej dotacji przypadającej na jednego studenta studiów dziennych (2 000 zł w 1990 r. w porównaniu do 684 zł w 1997 r.).** Jeszcze większe różnice w dotacji na 1 studenta są widoczne po uwzględnieniu wszystkich studentów publicznych szkół wyższych: 1 523 zł w 1990 r. i 386 zł w 1997 r. (spadek czterokrotny).

Porównanie liczby studentów studiów dziennych z ogółem studentów uświadamia fakt, z którego nie zawsze zdajemy sobie sprawę: w Polsce w 1998 r. ponad 50 % studentów wyższych szkół publicznych studiowało na studiach odpłatnych, a po uwzględnieniu studentów studiów dziennych powtarzających zajęcia, odsetek ten osiąga 60 %. Do tego trzeba dodać jeszcze

Tabela 2. Wartość dotacji budżetowej na 1 studenta studiów dziennych w latach 1990 - 1998

Rok	'90	'91	'92	'93	'94	'95	'96	'97	'98
Dotacja w zł bieżących	2000	2004	2821	3260	3836	4892	6313	7200	
Dotacja realna w zł stałych	**2000**	**1264**	**1046**	**846**	**737**	**712**	**719**	**684**	
L. stud. dziennych, [tys]	299	214	343	375	402	425	453	491	
L. wszystkich stud. publicz. SzW, [tys]	390	414	477	555	635	709	798	866	

200.000 osób, a więc następne 20 % ogółu, studentów wyższych szkół niepublicznych. Łącznie 80 % polskich studentów współuczestniczy w kosztach studiów - czy jest to zgodne z konstytucyjnym zapisem o bezpłatnej nauce? A może ten zapis nie obejmuje studiów, a dotyczy jedynie okresu obowiązkowej nauki?

Spadek dotacji budżetowej na szkolnictwo wyższe powoduje dramatyczne i dalekosiężne skutki. W doprowadzeniu polskiego szkolnictwa wyższego do obecnego stanu dopatrzyć się wręcz można znamion celowego działania. Łatwiej przecież pozbawić szkolnictwo środków potrzebnych na utrzymanie poziomu z końca lat osiemdziesiątych niż dotacji do nierentownych przedsiębiorstw zatrudniających grupy społeczne o dużej sile oddziaływania na władze państwowe. Wybuch niezadowolenia pracowników dużych zakładów przemysłowych może mieć natychmiastowe negatywne skutki, a niedofinansowanie edukacji daje o sobie znać z dużym opóźnieniem. Mało kto, będąc u władzy, martwi się skutkami swoich decyzji, które uwidocznią się za kilka czy nawet kilkanaście lat.

Symptomy gwałtownie pogarszającej się sytuacji w szkolnictwie wyższym były widoczne od dawna. Senaty uczelni i konferencje rektorów systematycznie informowały Rząd, Parlament i Prezydenta RP o zbliżającym się kryzysie. Nie tylko nie nastąpiły oczekiwane reakcje naprawcze, ale zabrakło również zwyczajnych odpowiedzi. O rozmiarach kryzysu świadczą niżej wymienione przykłady. **W ciągu ostatnich kilku lat liczba nowo przyznawanych tytułów profesorskich zmniejszyła się o ponad połowę (z 804 w 1990 r. do 367 w 1995 r.), a w dziedzinie nauk matematycznych zmalała aż sześciokrotnie! (odpowiednio 29 i 5)**. W ostatnim sprawozdaniu Komisja Centralna stwierdziła, że w 1997 r. rozpatrzyła o 30 % wniosków o tytuł profesora mniej niż w roku poprzednim, a wnioski były rozpatrywane na bieżąco. W wielu dziedzinach nie ma absolwentów chętnych do podejmowania pracy na uczelni. Wytworzyła się głęboka luka pokoleniowa. Szereg wydziałów egzystuje wyłącznie dlatego, ponieważ zatrudnia emerytów. Ale jak długo można w ten sposób prolongować nieuchronną utratę uprawnień akademickich, jeżeli liczba nowo przyznawanych tytułów profesorskich już od dawna nie równoważy ubytków naturalnych? Sytuacja pogarsza się z roku na rok. W związku z tym rodzą się pytania. Kto będzie kształcił nauczycieli wprowadzających w życie proponowaną reformę oświatową? Kto przygotuje kadry dla gospodarki zdolnej do konkurowania w zintegrowanej Europie? Kto zaprojektuje i zbuduje planowane autostrady? Kto zapewni środki na remonty, na modernizacje, na konieczne inwestycje w SzW? Na tle tych pytań nasuwa się pytanie zasadnicze: kto doprowadził do takiego stanu polskie szkolnictwo wyższe? Premierzy poszczególnych rządów III RP zapewniali o priorytecie dla edukacji. **Czas najwyższy na wskazanie i rozliczenie odpowiedzialnych za wywołanie kryzysu w szkolnictwie wyższym**. Jest to pilne zadanie dla Trybunału Stanu!

Naszym natomiast zadaniem jest realna ocena sytuacji i zaproponowanie programu naprawy. Pobieżną ocenę sytuacji przedstawiłem powyżej. Naprawa obecnego stanu szkolnictwa wyższego nie może polegać na próbach modyfikacji algorytmu podziału dotacji, na jego "ulepszaniu", na czynieniu bardziej "sprawiedliwym", na propozycjach zmian współczynników kosztochłonności, a w rezultacie doprowadzeniu do wzajemnego wyrywania sobie tych samych środków, do przysłowiowego "wyścigu szczurów", prowadzącego nieuchronnie do skłócenia środowiska akademickiego. Trzeba jasno uzmysłowić sobie i decydentom, że nawet najlepsze dzielenie biedy nie zwiększy środków potrzebnych na wyprowadzenie edukacji z kryzysu. Nie można się jednak też łudzić, a takim złudzeniom ulegają nawet doświadczeni parlamentarzyści, że istotną poprawę da wprowadzenie współodpłatności za studia. Współodpłatność jest potrzebna, ale nawet w znacznie bogatszych niż Polska krajach to źródło rzadko pokrywa 10 % kosztów studiów. Ponadto, jak to wykazałem powyżej, już obecnie 80 % polskich studentów współuczestniczy w kosztach kształcenia, nie można więc oczekiwać znacznie większych wpływów z tego źródła. Szkolnictwo wyższe musi zostać w pilny sposób doinwestowane, jeżeli mamy na zasadach partnerskich dołączyć do liczących się w Europie krajów. **"Przeznaczanie jedynie 0,8 % PKB na szkolnictwo i 0,5 % PKB na badania naukowe jest sabotażem i zbrodnią przeciw Narodowi"; ta ocena pochodzi z ust laureata nagrody Nobla, prof. Georgesa Charpaka**. Mówiąc o dofinansowaniu należy zdawać sobie sprawę z tego, że środki potrzebne na wyprowadzenie polskiego szkolnictwa wyższego z zapaści i zapewnienie mu rozwoju są niewielkie w porównaniu do dopłat na ubezpieczenia powszechne, dopłat do nierentownych kopalni, hut, rozdrobnionego rolnictwa, a nawet pojedynczych zakładów, jak np. Ursus. Potrzebna jest przede wszystkim wola polityczna decydentów i ich świadomość zagrożenia, jakie dla przyszłości Kraju niesie utrzymywanie szkolnictwa wyższego w stanie zapaści. Los Narodu i Kraju nie może być podporządkowany li tylko działaniom ukierunkowanym na wygranie kolejnych wyborów parlamentarnych. Na tym właśnie polega różnica między politykiem a mężem stanu, że ten pierwszy działa na rzecz wygrania kolejnych wyborów, a mąż stanu dąży do rozwoju narodu i państwa. Czy tak trudno wyobrazić sobie skutki wprowadzenia do struktur europejskich społeczeństwa, w którym jedynie 7 % ludzi ma wyższe wykształcenie i to na coraz gorszym poziomie? Losy takiego narodu łatwo przewidzieć: najniższe płace, wysokie bezrobocie, ogólna frustracja. Dlaczego do dzisiaj decydenci są nadal tak beztroscy? Jak można zapewnić pożądany poziom kształcenia w warunkach wyczerpania wszystkich rezerw, prowadzenia zajęć w przepełnionych salach dydaktycznych, bez nowoczesnej aparatury, przy nasilającej się tendencji odchodzenia nisko opłacanych pracowników?

O żenująco niskich zarobkach nauczycieli, w tym nauczycieli akademickich, wiadomo powszechnie. Nie wszyscy zdają sobie jednak sprawę z tego, jak niskie są one naprawdę. Niedawno podpisałem podwyżkę uposażenia pracownikowi, któremu Centralna Komisja zatwierdziła stopień doktora habilitowanego. Po 30 latach pracy na stanowisku nauczyciela akademickiego, otrzymał on 1 marca 1 285 zł wynagrodzenia zasadniczego. Dla porównania podaję, że absolwentom niektórych kierunków zaraz po studiach pracodawcy składają oferty wynagrodzenia rzędu 3 000 zł. Wynagrodzenie tego pracownika o kwalifikacjach profesora jest równe średniej krajowej w sektorze przedsiębiorstw. Oczywiście takie dochody nie zapewniają utrzymania rodziny na poziomie odpowiadającym aspiracjom profesora. Pracownik ten podjął dodatkową pracę w liceum ogólnokształcącym. Zgodnie z propozycją pana ministra Handkego, po reformie, jako profesor szkoły średniej, a posiada pełne kwalifikacje na to stanowisko, powinien otrzymywać wynagrodzenie rzędu 4 000 zł. Ile w takim razie powinien zarabiać jako profesor nadzwyczajny? Biorąc pod uwagę dodatkowy obowiązek prowadzenia badań naukowych, prawdopodobnie nie mniej niż 6 000 zł. Jakże jeszcze daleka droga przed nami.

Niezmiernie uciążliwym problemem w szkolnictwie wyższym jest brak wysoko kwalifikowanej kadry. Myślę, że brak

ten nigdy więcej nie zostanie uzupełniony przez mianowanie zasłużonych członków rządzącego ugrupowania, jak to bywało w przeszłości. Jest jednak w Polsce duża grupa wysoko wykwalifikowanych pracowników, których jedynym zadaniem jest uprawianie nauki, podczas gdy akademiccy nauczyciele ND, pracownicy obciążeni identycznymi zadaniami naukowymi, mają do wykonania dodatkowo bardzo poważne obowiązki dydaktyczne, a otrzymują porównywalne wynagrodzenia. Ponadto pracownik uczelniany na badania naukowe otrzymuje jedynie 1/3 tego, co pracownik naukowy w instytucjach niedydaktycznych. Ta jedna trzecia środków musi wystarczyć do wykonania i przedstawienia takiego samego dorobku naukowego, np. na awans profesorski, jaki jest wymagany od kolegi nieobciążonego obowiązkami dydaktycznymi. Czy nie jest to nieuzasadniona pozostałość dawnego systemu? Dlaczego w sytuacji braku kadr w szkolnictwie wyższym instytuty PAN nie zostały włączone do jednego systemu? Dlaczego obowiązki oraz uprawnienia pracowników naukowych i naukowo-dydaktycznych obu tych pionów nie zostały dotychczas zrównane?

W latach dziewięćdziesiątych pojawiło się w Polsce i szybko rozwinęło wyższe szkolnictwo niepubliczne. Jest to zjawisko pozytywne pod warunkiem istnienia merytorycznej kontroli nad tymi szkołami, które wydają dyplomy będące odpowiednikami dyplomów wyższych szkół publicznych. Są głosy utrzymujące, że jedynym kryterium jakości kształcenia i efektów działania każdej szkoły powinien być rynek. Absolwenci nie są jednak zwykłym produktem, ich pobyt na studiach trwa kilka lat i rozczarowanie po tym czasie może być szczególnie dotkliwe, przy czym jest ono zwykle znacznie dotkliwsze dla młodego człowieka niż szkoły, którą opuścił. Nikt, jak dotychczas, nie ponosi odpowiedzialności za poziom kształcenia. Kto odpowie za jakość wystawionych dyplomów, za zmarnowany czas i zmarnowane pieniądze rodziców, a niejednokrotnie samych studentów? Każda nowo powstająca jednostka otrzymuje licencję MEN, nikt jednak nie sprawdza realizacji zobowiązań podjętych przez organ założycielski, a docierające opinie na temat niektórych szkół niepublicznych są niepokojące. Znane są także przypadki powoływania szkół niepublicznych wbrew opinii Rady Głównej. Oczywiście uwagi te nie dotyczą wszystkich szkół utworzonych po 1990 r., są bowiem wśród nich instytucje naprawdę godne nazwy uczelni akademickich.

Odrębną kwestią są żądania dofinansowania niepublicznych szkół wyższych ze środków MEN. Uważam ten pomysł za nierozsądny, a wręcz szkodliwy. Głównym czynnikiem różniącym szkoły publiczne od niepublicznych jest ich źródło finansowania. Jaki byłby cel zacierania tej różnicy, przecież nie likwidacja szkolnictwa prywatnego? Do finansowanych przez państwo szkół publicznych powinni mieć i mają dostęp wszyscy chętni spełniający określone kryteria merytoryczne. Osoby nie spełniające tych kryteriów, a także wszyscy, którym szkoły publiczne nie odpowiadają, mają do wyboru szeroką ofertę płatnych szkół prywatnych. Dofinansowanie szkół niepublicznych zmniejszyłoby i tak skromne środki przeznaczane na szkoły publiczne, a to w jeszcze większym stopniu pogorszyłoby warunki studiowania, natomiast szkołom niepublicznym, które nie mają żadnych ograniczeń w wysokości pobieranego czesnego, zwiększyłoby po prostu dochody.

Ostatnio na forum Parlamentu toczyła się debata na temat tzw. emerytur mundurowych. Wyszły przy tym na jaw fakty zgoła niezrozumiałe. Przedstawiono argumenty uzasadniające wyższe wynagrodzenie oficerów w porównaniu do uposażeń nauczycieli akademickich. Argument pełnienia przez oficerów zawodowych służby przez 24 godz. na dobę nie wszystkich przekonuje, bo służba nie oznacza pracy przez tyle godzin. Nauczyciele akademiccy natomiast rzadko pracują mniej niż 12 godzin dziennie. Dodatkowy argument o pracy wojskowych w warunkach stałego zagrożenia, nawet w czasie pokoju, również nie wytrzymuje krytyki, ponieważ są zawody cywilne, w których istnieje znacznie większe zagrożenie zdrowia i życia, np. kierowców zawodowych. Natomiast nikt, jak do tej pory, nie podjął się nawet próby rozsądnego wyjaśnienia, dlaczego emerytura generała jest dwukrotnie wyższa od wynagrodzenia czynnego profesora i będzie wyższa nawet gdyby profesor pracując na 5 etatach otrzymywał wyższe niż generał uposażenie.

W dyskusji nad wielkością dotacji na oświatę i edukację nie należy zapomnieć o wpływie tych środków na nasze życie codzienne. Przeraża wszystkich wzrost przestępczości nastolatków. A czy jedną z przyczyn tej sytuacji nie jest ograniczenie, a często wręcz likwidacja zajęć pozalekcyjnych? Młodzież nie może pozostawać bez opieki i zajęć. Już od dawna wiadomo, że poprzez zwiększanie dotacji na szkoły, na wychowanie dzieci i młodzieży, na ich właściwe przygotowywanie do życia można wiele zaoszczędzić na wydatkach na policję, sądownictwo, czy więziennictwo. Bieda, bezrobocie i wysoka przestępczość często idą w parze z brakiem wykształcenia, a może są skutkiem zaniedbań edukacyjnych? Jako poparcie tej tezy niech posłuży sytuacja w najbiedniejszych polskich województwach - odsetek ludzi z wyższym wykształceniem jest w nich pięć razy niższy od średniej krajowej.

Z ostatniego raportu rządu wynika, że w najbliższych latach, czyli za jego kadencji, nie wystarczy środków na wszystkie zaplanowane reformy. Planuje się wobec tego opóźnić reformę oświaty. A to właśnie reforma oświaty powinna zapoczątkować reformę państwa, poprzedzić inne reformy. Z niedostatecznie wykształconym społeczeństwem żadna reforma nie może się udać. Im wcześniej to politycy zrozumieją, tym lepsze będą perspektywy dla Kraju i nas wszystkich.

20 kwietnia br. premier J. Buzek potwierdził na spotkaniu z rektorami KRASP, że w najbliższych latach nie nastąpi zwiększenie nakładów na szkolnictwo wyższe, liczonych jako udział PKB. Ta decyzja jest jednoznaczna z dalszą degradacją SzW w Polsce, a tym samym skazuje mieszkańców naszego kraju na zaniedbanie i zacofanie. 2% PKB na szkolnictwo wyższe i 2-3 % na naukę to nie jest zbytek, to jest konieczność wynikająca z potrzeby dotrzymania tempa rozwoju krajów, do których chcemy dołączyć. Rząd planuje środki na oddłużenie służby zdrowia, na jej reformę, na restrukturyzację górnictwa, w tym na ochronę socjalną. W szkolnictwie wyższym zrobiliśmy reformę bez dodatkowych środków. Może dlatego władzom wydaje się, że szkolnictwo wyższe nadal może działać i nawet rozwijać się przy tak marnym wsparciu finansowym ze strony państwa. To już jest niemożliwe. Wszystkie rezerwy zostały wyczerpane. Teraz może nastąpić tylko regres. Raport Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową z tego roku prognozuje, że ze względu na niedostatki kadrowe za 10-15 lat nastąpi drastyczne ograniczenie liczby studentów.

Aktualna sytuacja w szkolnictwie jest istotnie alarmująca. Kiedy ten alarm dotrze do decydentów?

Aleksander Kołodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej

PS Referat wygłoszony na Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej n.t. "System finansowania szkolnictwa wyższego" (Koszalin, 6-7 maja 1998 r.).

Korzenie i ścieżki SAPG

- rozmowa z prof. Bolesławem Mazurkiewiczem

Z wielką przyjemnością chciałbym przedstawić Państwu kolejną rozmowę z profesorem zw. Politechniki Gdańskiej. Jest nim prof. Bolesław Mazurkiewicz, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej (SAPG), rektor naszej Uczelni w latach 1987-1990, kierownik Katedry Budownictwa Morskiego, autor wielu konstrukcji morskich (nabrzeża). Szeroko otwarty na współpracę zagraniczną i znający sporo wpływowych osobistości (fot. 1). Jego największym hobby są żagle. Jest więc przede wszystkim człowiekiem morza, podziwiającym jego urok i potęgę oraz odkrywającym siebie w morskich tajemnicach.



Fot. 1. Prof. B. Mazurkiewicz i prof. H. Seidel, Prezydent Europejskiej Konferencji Rektorów

1. *Pierwsze pytanie dotyczy bezpośrednio pańskiej osoby. Proszę określić, jakim jest Pan Profesor absolwentem Politechniki Gdańskiej?*

Mam głębokie przekonanie, że jestem absolwentem, który określony może być mianem "zwyczajny", a więc taki, jakich jest większość. Może trochę skomplikowana była droga, jaką przebyłem, aby nim zostać; lata 1950 - 1956, kiedy to z ponad roczną przymusową przerwą studiowałem, były również skomplikowane. Sądzę, że nie muszę tych czasów charakteryzować. Ważne jest jednak, że udało się wszystkie trudności pokonać i wejść do grona tych, którzy z naszą Alma Mater związali całe swoje życie.

Fotografia 2 pochodzi z tamtych lat i przedstawia ówczesnych absolwentów Politechniki Gdańskiej.

2. *Potwierdza Pan opinię o łatwości doboru sentencji, haseł idealnie pasujących do konkretnej idei, czy symbolu. Czy tak też było w przypadku rodzącego się 10 lat temu Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej?*

Aby uczelnia wyższa mogła być godna miana uniwersytetu, istnieć musi ciągłość między pokoleniami mistrzów i uczniów, i to przez ich całe życie. Staje się to źródłem tradycji uczelni łączącej kolejne pokolenia członków całej społeczności akademickiej. Szukanie tej ciągłości i nawiązywanie do tradycji stało się przyczyną moich zabiegów o stworzenie Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Gdańskiej, organizacji, która miała stanowić także pomost między absolwentami przedwojennej i powojennej Politechniki Gdańskiej. Jestem przekonany, że tak się też stało.

3. *Ilu absolwentów PG spotkało się z ideą SAPG i kiedy to miało miejsce?*

Trudno jest odpowiedzieć dokładnie na to pytanie. Pierwszy raz o konieczności powołania Stowarzyszenia wspomniałem podczas inauguracji roku akademickiego 1987/1988, a więc z chwilą objęcia funkcji rektora. Potem przekazywaliśmy na wydziały informacje o zebraniu założycielskim (24 listopada 1987 - przybyło 36 osób), o zebraniu walnym (20 maja 1988 - przybyło 178 osób) i o powołaniu Stowarzyszenia (w latach 1989 -1990), przy czym w maju 1990 roku powołani zostali na wszystkich wydziałach przedstawiciele Stowarzyszenia, którzy przekazywali informacje o jego powstaniu, szczególnie podczas organizowanych zjazdów koleżeńskich czy uroczystości rozdawania dyplomów. Ponadto wywieszane były w gablotach dziekanatów aktualne informacje o Stowarzyszeniu, zamieszczone także przez wychodzący "Głos Politechniki Gdańskiej". Korzystając z posiadanych adresów absolwentów za granicą, wysyłano im również dane o Stowarzyszeniu, co znalazło zresztą swój oddźwięk w nadchodzącej korespondencji. Wydaje się, że w latach 1988 - 1990, a więc w początkach działania Stowarzyszenia, jego zadania i cele zostały szeroko rozpropagowane. Świadczyła o tym także liczba 700 członków na początku roku 1990. Była to zasługa pana dr. inż. Jana Suligowskiego, sekretarza Stowarzyszenia od początków jego istnienia

4. *Jakie więc są korzenie SAPG - mam na myśli charakterystykę komitetu założycielskiego? Oto lista jego członków, ale skupmy się tylko na 5 wybranych przez Pana osobach.*

Jak zaznaczyłem poprzednio, zebranie założycielskie zwołaliśmy w dniu 24 listopada 1987 roku. Z przybyłych 36 osób wybraliśmy Komitet Organizacyjny Stowarzyszenia w składzie: prof.Jerzy Doerffer - rektor Politechniki Gdańskiej w latach 1981-1984, prof. Witold Urbanowicz - przewodniczący Koła b. Studentów Polaków Politechniki WM Gdańska - przy Towarzystwie Przyjaciół Gdańska, doc. Wiesław Gruszkowski - Wydział Architektury, doc. Zbigniew Kowalski - prorektor ds. badań naukowych, mgr inż. Bogdan Kasprzycki - wiceprezydent Miasta Gdańska i mgr inż. Jan Wójcik - wicewojewoda gdański. Komitetowi Organizacyjnemu przekazałem opracowany przeze mnie statut, w celu naniesienia uwag do 15 grudnia 1987. Komitet Organizacyjny odbył posiedzenia w dniach 10 grudnia 1987 i 12 stycznia 1988. W wyniku zgłoszonych uwag, dostarczonych także przez innych uczestników zebrania założycielskiego, opracowano drugą wersję statutu, którą przekazano dyrektorowi Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku celem rejestracji Stowarzyszenia. W dniu 15 marca 1988 statut wrócił z drobnymi uwagami Urzędu Wojewódzkiego, które w zasadzie uwzględniono. Stowarzyszenie zostało w wyniku tego zarejestrowane, wobec czego już w dniu 8 kwietnia 1988 roku mogłem poinformować o tym radosnym fakcie społeczność akademicką i zaprosić absolwentów na pierwsze Walne Zebranie Stowarzyszenia, w dniu 20 maja 1988. Zaproszeń wysłano ponad 700.

Komitet Organizacyjny liczył 6 osób, z których dwie, a mianowicie prof. Jerzy Doerffer i prof. Witold Urbanowicz weszły do pierwszego Zarządu Stowarzyszenia w tym prof. J. Doerffer

jako pierwszy przewodniczący. Należy zaznaczyć, że studenci Polacy Politechniki WM Gdańska zostali automatycznie członkami Stowarzyszenia.

Może warto podkreślić, że w zebraniu założycielskim wzięli udział absolwenci tak przedwojenni, jak i powojenni, a wśród nich, poza członkami Komitetu Organizacyjnego, profesorowie: W. Anders, M. Cichy, B. Drozdowski, C. Druet, T. Jednorał, B. Kozerski, J. Onoszko, A.Tejchman, T. Sokołowska, i docenci: M. Polowczyk, L. Referowski, C. Taraszkiewicz, W. Wełnicki, E. Wittbrodt. Byli to więc absolwenci, których działalność tak w Politechnice, jak i poza nią była szeroko znana. Trudno byłoby mi dokonywać jakiejkolwiek oceny uczestników zebrania założycielskiego i członków Komitetu Organizacyjnego. Na pewno wszyscy gorąco popierali ideę powstania Stowarzyszenia. Wyraziłem im wówczas głęboką wdzięczność.

5. *Co ciekawego można jeszcze przekazać członkom SAPG?*

Interesując się związkami absolwentów z macierzystymi uczelniami można zauważyć, że w ramach stowarzyszeń absolwentów powstają także stowarzyszenia wspierające macierzystą uczelnię, tak w sposób pośredni, jak i bezpośredni. Pierwszy sposób polega na podkreślaniu w danym kraju roli macierzystej uczelni i eksponowaniu absolwentów, którzy obejmują określone ważne funkcje państwowe, administracyjne i przemysłowe. Wywołuje to właściwe nastawienie wobec uczelni i zachęca do powierzania jej absolwentom szeregu odpowiedzialnych stanowisk lub opracowania określonych zagadnień ważnych dla całego kraju. To z kolei staje się podstawą powstania organizacji wspierających uczelnię finansowo poprzez zaangażowanie tych absolwentów, którzy mogą odpowiednie decyzje podjąć. Należałoby sobie życzyć, aby także nasze Stowarzyszenie przyjęło ten kierunek działania, bowiem pozwoliłby on z jednej strony na zrzeszenie coraz większej liczby absolwentów, a z drugiej - na udzielenie konkretnego wsparcia uczelni z przeznaczeniem, np. na aparaturę, wydawnictwa, itp. Należałoby się także zastanowić, czy nie wskrzesić korporacji studenckich. Sądzę, że mogłyby one odegrać istotną rolę w integracji absolwentów. Widać wyraźnie, że korporacje, tam gdzie istnieją, skupiają absolwentów niezależnie od wieku i specjalności.

6. *Jakie są najlepsze formy działania SAPG - czy koła wydziałowe?*

Wydaje się, że na obecnym etapie rozwoju naszego państwa konieczne jest pewnego rodzaju zinstytucjonalizowanie Stowarzyszenia poprzez zapewnienie etatowego kierownictwa, realizującego główne cele Stowarzyszenia reprezentowanego przez Zarząd. Przy takim ustawieniu rację bytu mają koła wydziałowe, z tym że koła te obejmowałyby jako swego rodzaju jednostki organizacyjne jeszcze poszczególne roczniki absolwentów. Aktualnie, wobec odbywania szeregu zjazdów absolwentów, i to rocznikami, można przyjąć, iż ta forma byłaby bardzo skuteczna. Ważne byłoby jednak zapewnienie przepływu informacji o działaniach SAPG - sprawą zajęłyby się właśnie koła wydziałowe, z tym że przygotowanie informacji byłoby w zasadzie centralne, jednak przy uwzględnieniu wydarzeń na wydziałach. Niewątpliwie konieczne wydaje się wydawanie biuletynu Stowarzyszenia, który rozsyłany byłby do absolwentów, których adresy posiadamy. Od zawartości biuletynów, ich aktualności zależeć będzie oczywiście zainteresowanie Stowarzyszeniem. Środki finansowe powinno zbierać etatowe kierownictwo. Odpowiednie warunki aktualnie są - absolwenci Politechniki Gdańskiej piastują szereg poważnych stanowisk, posiadają firmy itp. Sądzę, że można by było dojść do porozumienia z Urzędem Skarbowym w sprawie odpisu dotacji od podatku. Uważam, że możliwości istnieją.



Fot. 2 .Absolwenci Wydziału Budownictwa Lądowego, obecnie profesorowie Bolesław Mazurkiewicz i Eugeniusz Dembicki, na krótko po podjęciu pracy

7. *Czy spotyka się koła SAPG za granicą?*

O ile mi wiadomo, istnieją tylko stowarzyszenia studentów przedwojennej Politechniki Gdańskiej. Jedno, obejmujące studentów niemieckich, mieści się aktualnie w Wolfenbüttel (Gesellschaft der Freunde der Technischen Hochschule Danzig e.V) z kołami w Duisburgu, Frankfurcie n.Menem, Monachium i Hamburgu, oraz drugie, studentów ukraińskich w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie z kołami w Filadelfii, Toronto i Nowym Jorku (Archiwnoj Komisija Dancigeri - Danzigers Archival Commission). Stowarzyszenia te są dość aktywne i wydają szereg materiałów informacyjnych tak o charakterze historycznym, jak i aktualnym.

8. *"Czas zatarł ślad" - głosi piosenka, jak więc odszukać zagubionych członków SAPG?*

W chwili obecnej istnieje szereg doskonałych możliwości. Strony internetowe, poczta elektroniczna itp. Ponadto prasa, radio i telewizja. Trzeba tylko rozpocząć całą akcję i ją odpowiednio prowadzić. Nie może to być jednak działalność społeczna. Z własnych doświadczeń wiem, że można osiągnąć 90-procentową skuteczność.

9. *Najbliższe Pańskie zamierzenia?*

Pytanie najtrudniejsze. Najpierw chciałbym dożyć co najmniej do momentu przejścia na emeryturę. Dalej chciałbym doprowadzić do rozpoczęcia i zakończenia budowy suchego doku dla żaglowca "Dar Pomorza". Byłbym również zadowolony, gdybym mógł pomyślnie zakończyć w roku 2000 działalność w Zarządzie Międzynarodowego Stowarzyszenia Uniwersytetów (International Association of Universities), przygotowując podstawy kształcenia uniwersyteckiego w zakresie rozwoju zrównoważonego (sustainable development), oraz w innych organizacjach międzynarodowych i krajowych, przekazując pałeczkę następcom. Powinno się to do końca roku dwutysięcznego udać.

Ze spraw uczelnianych chciałbym doprowadzić do zakończenia dwóch habilitacji i pięciu doktoratów pracowników realizujących swoje prace w Katedrze, oraz dwóch habilitacji pracowników spoza Katedry. Jest to trudne zadanie, ale myślę, że się uda.

A z najbliższych zamierzeń? Chciałbym wypłynąć w rejs żeglarski. Morze dodaje sił i sprowadza nas do rzeczywistości, ucząc przede wszystkim pokory. A tej nam najbardziej potrzeba.

Dziękując za rozmowę, pomyślałem sobie, że chętnie zabrałbym się z Panem Profesorem w taki rejs żeglarski. I to nie tylko dlatego, by podziwiać piękno natury, ale przede wszystkim po to, by uczyć się od mistrza. Nie mam cienia wątpliwości, że skorzystałbym bardzo wiele.

Henryk Krawczyk
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki

Seniorzy wszystkich politechnik, łączcie się!

Seniorzy krajowych wyższych szkół technicznych oraz uczelni Trójmiasta spotkali się w dniach 29-30 czerwca 1998 r. w Politechnice Gdańskiej



Przedstawicielka Klubu Seniora Politechniki Łódzkiej z autorką niniejszego artykułu (po prawej)

Z inicjatywy przewodniczącej Klubu Seniora Politechniki Gdańskiej kol. Gizeli Bober, i przy czynnym poparciu JM Rektora prof. Aleksandra Kołodziejczyka, Zarząd Klubu postanowił zorganizować szeroko zakrojone spotkanie seniorów bratnich polskich wyższych uczelni technicznych oraz uczelni Trójmiasta. Na spotkanie wyznaczone zostały dni 29 i 30 czerwca br.

W ruch poszły telegramy, zapytania i pisma zapraszające zainteresowanych seniorów, a adresowane do dyrektorów administracyjnych uczelni. Błyskawicznie ustalono program spotkania, zaakceptowany przez JM Rektora. Zapewniono salę senatu jako miejsce obrad, oraz miejsca noclegowe w domu akademickim. Zamówiono również obiady w Klubie Pracowniczym.

Cel spotkania był szczytny i piękny. My, seniorzy, chcieliśmy poznać się bliżej, by omówić wspólnie wiele spraw i problemów nas nurtujących i dotyczących naszego środowiska. Czekamy na gości. Z naszej strony nie przewidujemy większych trudności, ale przecież wszystko może się zdarzyć. Liczymy na obecność minimum 50-60 osób, łącznie z zaproszonymi na nasze spotkanie przedstawicielami władz naszej uczelni oraz związków zawodowych.

Nadszedł wreszcie oczekiwany tak niecierpliwie przez nas dzień spotkania. Sala Senatu została pięknie przystrojona, stoły nakryte - napoje, owoce, ciasteczka, a na każdym miejscu teczki przeznaczone dla gości, zawierające program spotkania, wyciąg z Dziennika Ustaw dotyczący finansowania emerytów i rencistów oraz odpis pisma Senatu PG, nadającego naszemu Klubowi status członka uczelni. Do teczek dołączono długopisy i znaczki Politechniki Gdańskiej.

Na głównej ścianie uczelni umieściliśmy motto Klubu: "Człowiek jest tyle wart ile może zrobić dla innego człowieka". Na drzwiach wejściowych widniały słowa serdecznego powitania gości.

Niestety, nie wszystkie uczelnie odpowiedziały na nasze zaproszenie. Przybyli jedynie przedstawiciele seniorów Politechniki Łódzkiej, Szczecińskiej, Wrocławskiej i Poznańskiej. Zaś z uczelni Trójmiasta gościliśmy przedstawicieli Akademii Medycznej, Uniwersytetu Gdańskiego, Akademii Wychowania Fizycznego i Wyższej Szkoły Morskiej.

Z zaproszonych przez nas gości - przedstawicieli naszej uczelni, obrady nasze zaszczycili swoją obecnością - pan prorektor ds. nauki prof. Jan Godlewski, przybyły w zastępstwie JM Rektora, który musiał w tym czasie wyjechać służbowo do Ministerstwa Edukacji Narodowej, pani mgr Ewa Mazur, dyrektor administracyjny PG, przewodniczący NSZZ "Solidarność" dr inż. Taduesz Szymański oraz Andrzej Łuczak, zajmujący się w Związku sprawami socjalnymi, a także członek zarządu Ryszard Kloskowski. Dalej, doc. dr inż. Tedeusz Umiński, przewodniczący ZNP, i jego zastępca mgr Leszek Nowak. Niestety, nie mogła przyjść pani kierowniczka Działu Socjalnego mgr Lucyna Niedźwiedzka, czego bardzo żałowaliśmy, z uwagi na poruszane w dyskusji istotne sprawy socjalne. Nie mógł też przybyć były Rektor PG prof. Edmund Wittbrodt - Senator RP, ale w zamian przysłał pismo, w którym przekazał nam swoje pozdrowienia, życząc owocnych obrad. Prosił o przesłanie naszych uchwał i wniosków, które w ramach swoich możliwości będzie się starał przedstawić w Parlamencie. Zaszczyciła także nasze spotkanie swoją obecnością pani poseł AWS okręgu gdańskiego dr Ewa Trela-Sikorska, zabierając głos w sprawach bardzo ważnych dla emerytów i rencistów i obiecując solennie pamiętać o nich we wszystkich sejmowych debatach.

A teraz sprawy najważniejsze: kto z zaproszonych seniorów z innych uczelni odpowiedział na nasze zaproszenie i przybył na spotkanie. Wymienię tu po kolei; byli to:

- przedstawiciele, a raczej przedstawicielki, seniorów Politechniki Łódzkiej: kol. Barbara Sedyńska - przewodnicząca Koła i jej zastępczyni kol. Krystyna Bogusławska,
- przedstawiciele z Politechniki Szczecińskiej: kol. Wanda Carewicz i kol. Janusz Lorkiewicz,
- przedstawiciel z Politechniki Wrocławskiej: kol. Bogusław Bałaziński,
- przedstawicielka z Politechniki Poznańskiej: kol. Lubomira Kraus-Kundo.

Natomiast z uczelni Trójmiasta przybyli:



Spotkanie w Sali Senatu - od lewej siedzą przedstawiciele z Politechniki Łódzkiej, Szczecińskiej i Poznańskiej

- z Akademii Medycznej: kol. kol. Krystyna Szulczyńska, Irena Stechnij, Józef Terlecki i T. Badzio,
- z Uniwersytetu Gdańskiego: kol. kol. Helena Subotowicz i Barbara Kos,
- z Akademii Wychowania Fizycznego: kol. Golikowska i kol. Jadwiga Branicka,
- z Wyższej Szkoły Morskiej: kol. H. Łączyński

Pozostałe uczelnie, zarówno z kraju, jak i Trójmiasta, niestety nie przysłały na nasze zaproszenie jakiejkolwiek odpowiedzi, choćby telefonicznej.

Po oficjalnym powitaniu przez przewodniczącą naszego Klubu, panią Gizelę Bober oraz przez prorektora prof. Jana Godlewskiego, rozpoczęły się obrady. Na wstępie głos zabrała pani poseł Ewa Trela-Sikorska, omawiając szeroko funkcjonowanie rent i emerytur oraz służby zdrowia, obchodzących nas najżywiej. Następnie przewodnicząca naszego uczelnianego Klubu Seniora przedstawiła, w pewnym skrócie, najważniejsze osiągnięcia, triumfy i potknięcia w naszej działalności klubowej, sięgając wstecz aż do historii powstania Klubu, od którego to momentu dzieli nas już 8 lat wspólnej pracy, wspólnych radości i często - niestety - smutków. Dalej, pod prężnym przewodnictwem, które powierzone zostało naszemu koledze Ryszardowi Skarżyńskiemu, potoczyły się dalej bardzo sprawne obrady, trwające kilka godzin. Były to głównie sprawozdania przedstawicieli seniorów poszczególnych uczelni, składanie wniosków, wymiana uwag i ogólne dzielenie się doświadczeniami swojej pracy. Po tak owocnych obradach, zebrani zostali zaproszeni do Klubu Pracowników PG na bardzo elegancki obiad. Całe popołudnie pozostawało do dyspozycji gości, którzy chętnie udali się na zwiedzanie Trójmiasta.

Drugi dzień obrad, 30 VI upłynął podobnie jak pierwszy - bardzo pracowicie i owocnie. Powołana została komisja wnioskowa w składzie: kol. Janusz Lorkiewicz - przewodniczący i kol. Wanda Carewicz z Politechniki Szczecińskiej oraz kol. Jadwiga Lipińska z naszego Klubu Seniora. Komisja przystąpiła niezwłocznie do pracy, podsumowując wszystkie głosy w dyskusji z dnia poprzedniego i opracowując je w formie uchwały, którą w pełnym brzmieniu przekazano panu Senatorowi RP prof. Edmundowi Wittbrodtowi, JM Rektorowi prof. Aleksandrowi Kołodziejczykowi oraz pani poseł Ewie Treli-Sikorskiej. Treść uchwały przedstawiam poniżej.

Ponadto powołana została także Ogólnokrajowa Rada Seniorów, która w przyszłości będzie nas reprezentować na szerokim forum krajowym. W jej skład weszli obecni na spotkaniu przewodniczący klubów seniora uczelni technicznych. Przewodniczącą Rady została wybrana pani Gizela Bober z Gdańska, a wiceprzewodniczącą pani Lubomira Kraus-Kundo z Politechniki Poznańskiej

Na wniosek naszej klubowej koleżanki p. Lubomiry Jankowskiej, Gdańsk został jednogłośnie obwołany stałą siedzibą Rady z zaleceniem spotykania się raz w roku w różnych uczelniach. Także rozmowy prowadzone w kuluarach były bardzo owocne, spontaniczne i serdeczne. Wymieniano adresy, dzielono się, bardziej już nieoficjalnie, swoimi uwagami i spostrzeżeniami, a także projektami na przyszłość. I tym razem uczestnicy spotkania ruszyli w zwartym szyku na równie wytworny obiad, jak dnia poprzedniego. Na zakończenie zrobiliśmy sobie "rodzinne" zdjęcie na schodach wejściowych do Gmachu Głównego PG.

Niestety, drugi dzień obrad stał się dla nas seniorów Politechniki Gdańskiej dniem żałoby. Otrzymaliśmy bowiem rankiem tego dna smutną wiadomość, że zmarł nasz wspaniały, niezapomniany kolega dr inż. Henryk Masiakowski, członek Rady Starszych naszego Klubu, który również miał brać udział w tym spotkaniu. Zabrakło go wśród nas. Świadomość Jego śmierci towarzyszyła, przynajmniej niektórym z nas, boleśnie do końca dnia

Podsumowując to nasze pierwsze koleżeńskie spotkanie seniorów wyższych technicznych Uczelni kraju, możemy z satysfakcją stwierdzić, że było ono pod każdym względem udane i owocne. Tym samym zapoczątkowaliśmy coś, co w przyszłości powinno zaowocować wspólnym działaniem na rzecz naszych, może już nie obowiązków, ale praw, oraz zwrócić uwagę społeczeństwa na tę, jakże liczną i stale wzrastającą, grupę obywateli tego kraju, którzy jego zręby wznosili dzielnie w najtrudniejszych w historii powojennej czasach, nie licząc na zapłatę ani nie cofając się przed różnego rodzaju przeciwnościami, tak ze strony losu, jak i tymi tworzonymi bardzo często przez innych ludzi. Pamiętajcie o tym, że i Wy, którzy teraz jesteście sprawni i młodzi, znajdziecie się kiedyś w społeczeństwie seniorów. I Wam też będzie miło, gdy spotkacie się z serdecznością i pomocną dłonią młodszych od siebie. Fortuna kołem się toczy - "Tempora mutantur et nos mutamur in illis", oby nie na gorsze.

Na zakończenie pragniemy podziękować bardzo serdecznie JM Rektorowi Politechniki Gdańskiej prof. Aleksandrowi Kołodziejczykowi za umożliwienie nam zorganizowania tego spotkania i za Jego wielką życzliwość, pomoc i opiekę nad całością naszego przedsięwzięcia.

Jadwiga Lipińska
Klub Seniora
Fot. T. Chmielowiec



Spotkanie w Sali Senatu; przedstawiciele Klubów Seniora uczelni Trójmiasta

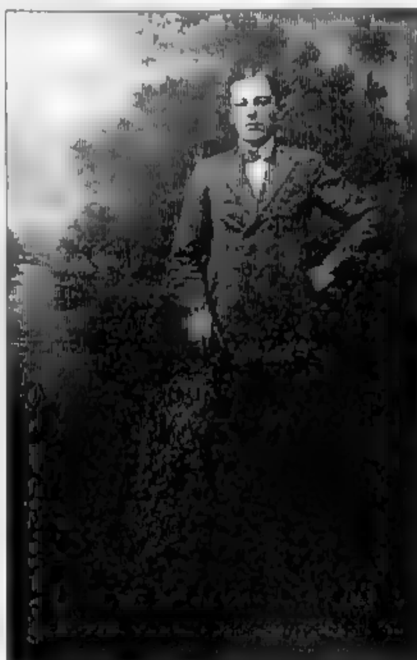
Uchwały I Zjazdu przedstawicieli (delegatów) Klubów Seniora Wyższych Uczelni Technicznych

1. Zrzeszenie Ogólnokrajowe Klubów Seniora Wyższych Uczelni Technicznych nosi nazwę "Ogólnokrajowy Klub Seniora Wyższych Uczelni Technicznych" z siedzibą w Gdańsku
2. Zjazd powołuje Radę Ogólnokrajowego Klubu Seniora, w skład której wchodzą:
   Przewodnicząca - Gizela Bober (Politechnika Gdańska);
   Członkowie: Bogusław Bałaziński (Politechnika Wrocławska), Jadwiga Branecka (Akademia Wychowania Fizycznego w Gdańsku), Barbara Cedzyńska (Politechnika Łódzka), Janusz Lorkiewicz (Politechnika Szczecińska), Helena Subotowicz (Uniwersytet Gdański), Krystyna Szulczyńska (Akademia Medyczna w Gdańsku).
3. Rada Ogólnokrajowa Klubów Seniora zwróci się do uczelni nie uczestniczących w Zjeździe dla nawiązania współpracy z istniejącymi tam Klubami Seniora bądź spowodowania ich powstania.
4. Ustala się termin II Zjazdu Ogólnokrajowego Klubu Seniora w czerwcu 1999 r.
5. Zjazd zobowiązuje Radę do wystąpienia o spowodowanie, na drodze legislacyjnej, zwolnienia od podatku wszystkich świadczeń funduszu socjalnego emerytów i rencistów.
6. Uznaje się potrzebę przyspieszenia zaległej rewaloryzacji emerytur i rent, wynikającej z orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego
7. Należy poczynić starania o utrzymanie akademickiej służby zdrowia oraz objęcie nią wszystkich środowisk akademickich, również emerytów i rencistów w macierzystych uczelniach
8. Wnioskuje się o włączenie do obliczania emerytur dodatków za pracę w szkodliwych warunkach byłym pracownikom, którym ten dodatek przysługiwał
9. Zobowiązuje się Radę do podjęcia starań o zorganizowanie Domu Seniora pracowników wyższych uczelni

W drodze do Politechniki Gdańskiej

Wiosną 1937 roku otrzymałem pięknie wydrukowany dyplom ukończenia studiów w dawnej Politechnice Wolnego Miasta Gdańska. Po raz ostatni schodziłem ze schodów przed jej Gmachem Głównym z dziwnym i nawet przykrym wrażeniem, że już nie mam po co wracać do tego budynku i do kreślarni, gdzie bywałem miesiącami, opracowując mój projekt dyplomowy. Mąciło to nieco radość z uzyskanego właśnie stopnia magistra inżyniera budowy okrętów... Teraz zaczynał się odmienny i niewiadomy okres życia, i trzeba było zaznać na własnej skórze wszelkich jego blasków i cieni. W tym czasie absolwent musiał sam starać się o zatrudnienie, o co zresztą już wcześniej zabiegał. Ja byłem szóstym z kolei polskim absolwentem w specjalności budowy okrętów - większość kolegów wybierała budowę maszyn okrętowych, co mogło ułatwić znalezienie pracy w kraju, kiedy nasza młoda gospodarka morska dopiero zaczynała wchłaniać nowe siły inżynierskie. Jej rozwojowi mogłem przyglądać się od początku, bo do Gdyni przybyłem po raz pierwszy latem 1925 roku, kiedy była ona jeszcze wsią rybacką, gdzie zaczęto właśnie budowę portu. Ale korzenie moich morskich zainteresowań tkwiły znacznie głębiej w czasie

Było to jeszcze przed pierwszą wojną światową, w dawnej, carskiej Rosji. Urodziłem się bowiem nad Morzem Kaspijskim, w dzisiejszej stolicy Azerbejdżanu, Baku, gdzie ojciec mój pracował jako inżynier w przemyśle naftowym. Ojca straciłem bardzo wcześnie, po czym z matką i młodszą siostrą mieszkaliśmy przez dłuższy czas w Jałcie na Krymie. Pamiętam dobrze Morze Czarne, choć miałem dopiero 5 lat. Znałem je nie tylko z plaży, ale i z podróży statkami do kilku pięknych kąpielisk krymskich oraz do Odessy, gdzie widziałem w porcie różne statki, a zwłaszcza stojące na redzie okręty wojenne carskiej Marynarki: pancerniki i krążowniki o kilku wysokich kominach, z dawnymi taranowymi dziobami, najeżone armatami. Stały tak, szare i groźne, a mnie ogromnie imponowały i mocno wbiły się w pamięć. Tak samo carski jacht "Sztandart", spory statek o dwóch kominach i trzech masztach, stojący na redzie Jałty, wówczas kiedy latem car Mikołaj II z rodziną rezydował w pałacu Liwadia koło Jałty. Pamiętałem te okręty i statki, podróże morskie i widoki portów, od dzieciństwa długo potem, kiedy przez wiele lat byłem z dala od morza. W czasie I wojny światowej byliśmy znów w Rosji. Przeżyło się rewolucję bolszewicką i tamtejszą wojnę domową czerwonych z białymi, po której znów znaleźliśmy się na Krymie, oblężonym przez czerwonych. Był to rok 1919 i tam słyszało się już, że jest Niepodległa Polska... Szczęśliwie udało się nam repatriować do niej w lecie 1920 roku, co nastąpiło najpierw statkiem do Rumunii i dalej koleją do kraju. A więc jeszcze jedna podróż morska, dobrze zapamiętana. Teraz byłem daleko od morza i kończyłem już polską szkołę średnią, ale fascynacja morzem i statkami nie zanikała - wiedziałem już, że chcę być inżynierem od budowy statków i szukałem drogi do właściwych studiów, których, jak się okazało, w polskich uczelniach nie było. Można było zostać stypendystą Marynarki Wojennej, być wysłanym na studia do Francji i zostać okrętowcem, ale i zarazem zawodowym oficerem Marynarki Wojennej. Tak zrobiło kilku Polaków, ale wojskowy zawód mnie nie pociągał.



Profesor jako uczeń gimnazjum - rok 1924

Druga droga prowadziła do Gdańska, gdzie na Politechnice, fundowanej jeszcze przez cesarza Wilhelma II, był Wydział Okrętowo-Lotniczy, a w mieście istniały duże i mniejsze stocznie o długich tradycjach budowy okrętów wszelkich rodzajów. Była to jedyna droga dla mnie, zatem konsekwentnie starałem się nią dążyć. Politechnika była niemieckojęzyczna, ale ten język nieźle znałem z wcześniejszej nauki i nie bałem się większych trudności. Warunkiem przyjęcia na studia było odbycie półrocznej praktyki warsztatowej. Udało mi się odbyć ją w Bydgoszczy, w dużych warsztatach kolejowych. Ale wystąpiła też sprawa służby wojskowej i trzeba było wybrać albo studia i jej odroczenie, albo też odbycie jej przed studiami. Jako maturzysta miałem prawo wyboru broni i szkoły oficerskiej. Bez wahania wybrałem Marynarkę Wojenną, aby znów trafić nad morze. Tu pojawiła się nowa trudność - Szkoła Oficerska Marynarki Wojennej nie przyjmowała w tym właśnie roku nowych elewów, a ja uparłem się i nie chciałem wybrać innej broni. Po różnych staraniach przyjęto mnie do Marynarki, ale... jako zwykłego szeregowca, i to na dwa i pół roku służby! To było wielkie zmartwienie w mej rodzinie. Nie dość, że chciałem studiować budowę okrętów, co wówczas było u nas niemal fanaberią bez jasnych widoków na pracę, to jeszcze wpakowałem się na tak długi czas do Marynarki. Mój upór przełamał wszelkie perswazje i od jesieni 1926 roku zacząłem moją służbę od kursu rekruckiego.



Profesor jako student Wydziału Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej - rok 1930

Od wiosny zostałem przydzielony na transportowiec ORP "Wilja" jako marynarz pokładowy. Pływałem na tym okręcie przez 15 miesięcy, zrobiłem pięć rejsów do Francji i Anglii, skąd zwoziło się różne materiały wojenne, a latem 1927 roku przywieźliśmy do kraju prochy Juliusza Słowackiego. Wówczas dobrze poznałem życie na morzu i pracę marynarza - czułem się w tym środowisku bardzo dobrze, a moje ciągoty ku morzu były w pełni zaspokojone. Zbierałem doświadczenia z życia załogi, jego negatywy i szkodliwości, co mi się później bardzo przydało w pracy naukowej i autorskiej. Do końca służby byłem jeszcze w załodze torpedowca ORP "Mazur", a następnie w służbie Broni Podwodnej (torpedy, miny i trały), gdzie było więcej prac technicznych i warsztatowych. Tak dobiegał do końca czas mej służby wojskowej i trzeba było znów wrócić do spraw studiów.

Zgłoszenie i dokumenty złożyłem w Politechnice już wcześniej i jesienią 1928 roku wybrałem się do Uczelni, by dowiedzieć się, czy zostałem przyjęty. Pojechałem z Gdyni w mundurze marynarza, a był to mundur prywatnie uszyty (takie sobie wtedy robiliśmy), zgrabny, o szerokich spodniach, co dodawało szyku całej sylwetce. Do tego odpowiedni kołnierz marynarski, biała czapka i rękawiczki - nie można było przecież pokazać się w Wolnym Mieście Gdańsku w byle jakim stroju. Tak przekroczyłem bramę Politechniki, nie zważając na zdziwioną minę portiera, który mnie nie zatrzymał. Do hołu wszedłem akurat w czasie dużej przerwy, kiedy było tam pełno studentów i gwar niemieckiej mowy. Na mój widok gwar ten nagle ucichł, a ja spokojnie wszedłem na piętro, do kancelarii Uczelni, gdzie też dziwnie na mnie spojrzano, ale uprzejmie poinformowano, że zostałem przyjęty i mogę rozpocząć studia, chociaż semestr zimowy już był w toku. Tą samą drogą wróciłem do wyjścia z Politechniki i dopiero później wyjaśnili mi koledzy, że wchodząc do Uczelni w polskim mundurze wojskowym, poważnie naruszyłem zasadę eksterytorialności Politechniki, na której teren nawet policja nie wchodziła bez zezwolenia rektora! Stałem się zatem mimowolnie pierwszym i chyba jedynym żołnierzem polskim w mundurze, który wszedł do Uczelni. Koledzy mnie za to bardzo chwalili, choć sam sobie tego "wyczynu" nie uświadamiałem, ani go nie zamierzałem.



Profesor w Marynarce Wojennej - rok 1928

Po zakończeniu służby wojskowej zjawiłem się w Uczelni dopiero na początku 1929 roku, a właściwe studia musiałem zaczynać od semestru letniego, co wtedy było tam możliwe, ale sprawiało niemałe kłopoty z wykonywaniem i zaliczaniem prac i ćwiczeń.

Zamieszkałem w polskim domu akademickim "Bratniej Pomocy" we Wrzeszczu. Zjawiłem się tam po cywilnemu, ale z typowym marynarskim workiem na plecach, gdzie miałem swój skromny dobytek. Przyjęto mnie i wskazano pokój nr 68 na II piętrze tego koszarowego budynku, który wciąż jeszcze przebudowywano dla potrzeb akademika - duże sale przerabiano na dwuosobowe pokoje. Mój pokój na razie miał zbudowany przez środek prowizoryczny płot drewniany o wysokości 2 metrów, który udawał ścianę pomiędzy przyszłymi pokojami. Meble były prymitywne, żelazne wojskowe łóżka, i w ogóle spartańska atmosfera. Mieszkali tam już trzej koledzy. Jednym z nich był Henryk Giełdzik, student budowy okrętów, który mnie wprowadzał we wszystkie sprawy wykładów, ćwiczeń itp. Byliśmy przyjaciółmi od czasu studiów przez całe życie, kiedy przed wojną razem zajmowaliśmy się projektem pierwszego budowanego w Gdyni statku "Olza", a po wojnie przejmowaliśmy i uruchamialiśmy nowy przemysł okrętowy. Henryk Giełdzik był pierwszym dyrektorem Stoczni Nr 3, czyli dzisiejszej Stoczni Północnej, tworzył pierwsze okrętowe biuro projektowe i był głównym projektantem pierwszego po wojnie statku, parowca "Sołdek", dziś statku muzealnego w Gdańsku. Podobnie od początku pracował z nami kolega Olgierd Jabłoński, który mnie wprowadził do grona studentów-okrętowców.

Zostałem członkiem Koła Naukowego Studentów-Polaków Techniki Okrętowej Politechniki Gdańskiej, pod nazwą KORAB. Było to pierwsze koło naukowe studentów gdańskich, które powstało 24 lipca 1924 roku. Jego głównym zadaniem było ułatwianie studiów m.in. przez zdobycie na Politechnice własnej kreślarni okrętowej, utworzenie biblioteki fachowej, starania



W kreślarni "KORABIA" - rok 1936

o praktyki w stoczniach i na statkach, nabycie kosztownych pomocy naukowych itp. Kreślarnię zdobył KORAB w 1929 roku, co ogromnie ułatwiło pracę starszym kolegom, którzy musieli dotąd pracować w kreślarniach zarządzanych przez niemieckie organizacje studenckie, a nie było to łatwe.

Dla mnie rok 1929 był początkiem studiów - trzeba było poznawać regulaminy i tryb pracy w Uczelni, pokonywać trudności językowe i przejść do całkiem odmiennego środowiska i obowiązków. Tak zaczął się ów nowy i znaczący etap życia, którego od dawna pragnąłem - stałem się faktycznie studentem budowy okrętów i mogłem z zadowoleniem spojrzeć na całą moją drogę do tej Politechniki. Drogę, która zaczęła się już we wczesnych moich latach.

Witold J. Urbanowicz
Wydział Architektury

Od Redakcji: Powyższy artykuł został opublikowany w czasopiśmie "Z historii Politechniki Gdańskiej" nr 2, październik 1994 r., str. 22-24.



11 sierpnia 1998 r. przeżywszy 93 lata zmarł
NESTOR POLSKICH ARCHITEKTÓW - OKRĘTOWCÓW
Profesor Witold Jan URBANOWICZ
Doktor Honoris Causa Politechniki Gdańskiej
Absolwent Politechniki Wolnego Miasta Gdańska z 1937 r.

Po uzyskaniu dyplomu, do wybuchu II wojny światowej pracował w Gdyni w Żegludze Polskiej i Polsko-Brytyjskim Tow. Okrętowym W czasie okupacji był żołnierzem AK w organizacji "Alfa" (Marynarka Wojenna RP w konspiracji). Po wyzwoleniu został pierwszym dyrektorem Zjednoczenia Stoczni Polskich Następnie organizował Morski Instytut Techniczny (1950 r.) i w 1951 r przekształcił go w Instytut Morski w Gdańsku. Tam Profesor, pełniąc funkcję pierwszego dyrektora, prowadził badania nad nowymi typami statków. Jednocześnie rozpoczął wykłady na Wydziale Architektury PG, tworząc na naszej uczelni nowy, nie znany dotychczas w świecie, kierunek i specjalność projektową - Architektura Okrętów. Jest autorem dwóch fundemantalnych dzieł naukowych: "Architektura okrętów" i "Transatlantyki" oraz ogromnej liczby publikacji będących wynikiem Jego badań naukowych. Do momentu przejścia na emeryturę kierował Katedrą Architektury Morskiej i Przemysłowej na Wydz Architektury PG Był Członkiem Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, Gdańskiego Tow Naukowego, przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Nautologicznego. Do końca swoich dni przewodniczył, jako jeden z założycieli, Kołu b Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej z lat 1904-1939. Odznaczony licznymi medalami i odznaczeniami, w tym Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski Za zasługi dla Politechniki Gdańskiej Senat tej uczelni nadał Profesorowi w 1991 roku tytuł i godność DOKTORA HONORIS CAUSA POLITECHNIKI GDANSKIEJ.



16 sierpnia 1998 r. przeżywszy 61 lat zmarł
mgr inż. Wojciech HEPPNER
FILISTER HONORIS CAUSA KORPORACJI MAGNA POLONIA POZNAŃ
członek społeczności naszej Alma Mater, b. kierownik Działu BHP i Ochrony P-Pożarowej Politechniki Gdańskiej

Absolwent naszej Uczelni z 1960 r. Jeden z najwybitniejszych znawców historii studenckich organizacji korporacyjnych. Była to działalność pozazawodowa, poparta ogromną pasją. Jego publikacje na ten temat, z których 18 ukazało się w "PIŚMIE PG", cieszyły się dużym zainteresowaniem. Za zasługi dla ruchu korporacyjnego, reaktywowanego po 1989 r., został uhonorowany godnością Honoris Causa poznańskiej Korporacji "Magna Polonia". Na Politechnice Gdańskiej pracował w latach 1960-1968 jako nauczyciel akademicki, a następnie, po kilkunastoletniej przerwie, powrócił z przemysłu na stanowisko kierownicze w Dziale BHPiOP PG. Z uwagi na pogarszający się stan zdrowia przeszedł w 1991 r. na rentę chorobową.

Maturzyści V LO na drodze do PG

Wiedzę możemy przyjmować od innych ludzi,
ale mądrości musimy nauczyć się sami

Axel Munthe (1857 - 1949)

Tradycyjna studniówka, dzień zabawy uczniów klas maturalnych w liceach ogólnokształcących i zawodowych oraz technikach, uzmysłowiła im, że szkolny zegar wskazuje "za pięć dwunasta". Rozpoczęło się odliczanie dni dzielących ich od egzaminu dojrzałości, od podjęcia wyważonej decyzji o wyborze kierunku studiów. Wśród uczniów ostatnich klas szkół średnich i rodziców tej młodzieży panowała atmosfera napięcia. Przyczyną zaistnienia tego zjawiska było "wymuszanie" na kształconych przyswojenia sobie maksimum wiedzy programowej szkoły, wiedzy decydującej o dopuszczeniu uczniów do egzaminu maturalnego, a następnie o zakwalifikowaniu się na studia. W okresie tych "stu dni" rodzice, nauczyciele, dyrekcje szkół w licznych przypadkach podejmowali "niekonwencjonalne zabiegi", aby "obiekt ich zainteresowań" otrzymał świadectwo dojrzałości i to z "wysokimi ocenami" i następnie został przyjęty do szkoły wyższej. W swych rozważaniach nad "edukacyjną strategią", liczni maturzyści i ich rodzice postanowili, że jeżeli kandydat do wybranej przez siebie uczelni (wydziału) nie zostanie do niej zakwalifikowany na skutek niepowodzenia w czasie egzaminu wstępnego, to obowiązkowo powinien "załapać się" w innej szkole wyższej (lub wydziale). W tym systemie "załapania się za wszelką cenę", posiadacz świadectwa dojrzałości nie zastanawiał się, czy jest dostatecznie przygotowany do kształcenia się w uczelni "wyznaczonej mu przez los".

Przemyślana nadopiekuńczość nad niektórymi potencjalnymi maturzystami, niekonwencjonalne zabiegi na korzyść kandydatów do szkoły wyższej, przeprowadzane w dobrej intencji przez "życzliwie wspomagających" rodziców i nauczycieli, stawały się przyczyną kłopotliwych sytuacji. Były one rezultatem plotek i pomówień. Dopatrywano się aspołecznych "półprawd", a przynajmniej "ćwierćprawd" wskazujących na pokrętne metody dochodzenia części młodego pokolenia Polaków do "źródła wiedzy". Zastanawia nas, czy takie metody uczą młodzież nabywania mądrości służenia narodowi i naszemu państwu. Zarysowany tu problem w funkcjonującym mechanizmie edukacyjnym powinien być postrzegany i rozwiązywany w środowisku uczniów, studentów, nauczycieli, w tym akademickich.

Z powyższych sygnałów i rozważań wynika, że nadal aktualne jest refleksyjne twierdzenie J. W. Goethego. Wyraził on pogląd, że tam gdzie jest "dużo światła" - a każda szkoła jest takim miejscem - jest również "wiele cienia". Ta niepodważalna prawda nakazuje każdej instytucji oświatowej, by ta ze swego systemu działalności wyeliminowała występujące "cienie" i w rezultacie "biła pełnym blaskiem"

▪

Uczniowie klas czwartych V LO w Gdańsku-Oliwie po studniówce nie ukrywali, że poddawali się narastającym dreszczykom emocji. Te ich wewnętrzne niepokoje, stany frustracji, były rezultatem wzmożonego wysiłku intelektualnego, obawy przed wynikiem egzaminu dojrzałości, a także pytania czy przekroczenie progu szkoły wyższej przez maturzystów przyniesie im upragniony sukces w postaci otrzymania indeksu. Źródła tych emocji skatalogowało w ostatnich dniach kwietnia 26 uczniów, którzy deklarowali ubieganie się o przyjęcie na studia na Politechnice Gdańskiej. Ci czwartoklasiści, w wypełnionej anonimowej ankiecie, dokumentowali swoje przekonania, mające świadczyć o "wysokim poziomie" opanowanej przez nich wiedzy szkolnej. Ankietowani - w obliczu zbliżającego się dnia rozpoczęcia egzaminu dojrzałości:

- wystawili sobie stosunkowo wysokie oceny z trzech przedmiotów; średnia ocena z matematyki, obliczona dla badanej grupy, wynosiła 4,39, z fizyki - 4,32 i z chemii - 4,12;
- stwierdzili, że znajomość przez nich wymagań, jakie PG stawia kandydatom, jest "w zasadzie dobra"; średnia ocena nabytych informacji o systemie kształcenia w tej uczelni dla grupy respondentów wynosiła - 4,09;
- sugerowali dobrą znajomość treści pytań stawianych kandydatom przez PG w czasie egzaminów wstępnych w lipcu 1997 r.; obliczona średnia ocena przyswojenia sobie treści tych pytań wynosiła - 4,27;
- informowali, że 11 - spośród 26 ankietowanych uczniów - uczęszczało na kursy wyrównawcze z matematyki i fizyki organizowane przez PG lub UG; ocena tych kursów przez ich uczestników była bardzo zróżnicowana, od miernej do dobrej.

Ankietowani uczniowie pytani o ocenę stopnia ich przygotowania do studiowania (samoedukacji) w PG, dawali sobie różne "noty". Ocenę "dobrze" dało 8 respondentów, "średnio" - 12, "nie wiem" - 8. Z wypowiedzi badanych wynikało, że większość z nich nie potrafiła opisać, co znaczy "przygotowanie do kształcenia się" w uczelni technicznej.

Stosunkowo wysoka percepcja wiedzy programowej, w którą kadra nauczająca w liceum wyposażyła uczniów klas czwartych, była rezultatem licznych, niekwestionowanych przedsięwzięć organizacyjnych i dydaktycznych - stwierdziła mgr T. Głuszczak, dyrektor szkoły. Na to osiągnięcie złożyły się przede wszystkim następujące składniki:

- maksymalizacja partnerskiego współdziałania dawców i biorców wiedzy;
- o wysokiej jakości nauczania "podstaw informatyki" w klasach I i II decydowało "wyposażenie uczniów" w komputery ze skrzynką internetową; zestaw tych środków dydaktycznych posiadał każdy uczeń w obu wymienionych klasach;
- skondensowany program liceum realizowano w klasach od I do III; natomiast rozszerzony program szkoły - uznany za obligatoryjny - przyswajali uczniowie klas czwartych. Zajęcia w klasie czwartej prowadzono systemem fakultatywnym, a ich podstawowym celem było optymalne przygotowanie kształconych do matury i studiów;
- ze 170 uczniów klas IV, na 5 fakultetów z matematyki uczęszczały 93 osoby, na 2 fakultety z fizyki - 33 osoby; wszyscy uczniowie wzbogacający swoją wiedzę z matematyki metodą fakultatywną, z tego przedmiotu pisali pracę na egzaminach dojrzałości;
- czwartoklasiści, którzy deklarowali podjęcie studiów na PG, stwierdzili, że 26 godzin zajęć w tygodniu (z matematyki - 6, z fizyki - 6, j. angielskiego - 6, j. polskiego - 4, propedeutyki - 2, wychowania fizycznego - 2) dawało im niemały ładunek wiedzy, poważnie obciążający "ich umysł i psychikę". Część respondentów, poza uczestniczeniem w kursach wyrównawczych z przedmiotów ścisłych, swą wiedzę wzbogacała u "prywatnych korepetytorów", między innymi z języka angielskiego.

Wymienione tu zabiegi i inne formy "ładowania akumulatorów" przed maturą zadecydowały o wysokich wynikach nauczania czwartoklasistów. Dowodem tego był fakt, że wszystkich 170 uczniów dopuszczono do egzaminów dojrzałości i wszyscy go zdali. Z tego wynika, że w V LO świadectwo dojrzałości otrzymało 100 proc. czwartoklasistów, podczas gdy np. w VI LO w Gdańsku - 50 proc. W Polsce egzaminu maturalnego nie zdaje średnio co dziesiąty abiturient.

Z porównania obu wskaźników procentowych, które są jednym z podstawowych, wymiernych kryteriów oceny efektywności kształcenia w analizowanych tu liceach, wynika następujące pytanie. Jakie były obiektywne przyczyny tak zróżnicowanych mierników jakości kształcenia, które odnotowano pomiędzy V LO a VI LO? Tezy, że w jednej szkole uczniowie byli lepiej przygotowani do egzaminów, że w czasie egzaminów maturalnych nauczyciele swym podopiecznym okazywali "ludzką życzliwość", z elementami liberalizmu - nie można udowodnić bez prowadzenia badań porównawczych. Również nie można uznać za prawdziwą tezy, że w drugiej szkole młodzież była nie dość dobrze przygotowana do matury, że oceny wystawiane abiturientom były obiektywne, czy, że egzaminatorzy swym byłym uczniom nie okazali dostatecznego "ludzkiego zrozumienia".

Przy porównaniu wyników "operacji maturalnej" w V LO z wynikami osiągniętymi w VI LO, nasuwa się kolejne pytanie. Czy egzamin dojrzałości powinien spełniać funkcję selekcji maturzystów przed przekroczeniem przez nich progu szkoły wyższej? Odpowiedź na to pytanie zawarta jest w następujących danych. Studia w PG 1 października 1992 r. rozpoczęło 57 maturzystów rekrutujących się z V LO. Drugi semestr nauki do dnia 10 lutego 1994 r. (koniec sesji zimowej) zaliczyło 27 studentów (47,3 proc.). Zbliżony odsetek zaliczających drugi semestr w lutym obliczono w latach 1995 i 1996. Z VI LO 1 października 1992 r. studia w PG podjęło 25 maturzystów. Spośród nich do 10 lutego 1994 r. drugi semestr zaliczyło 9 studentów (36,0 proc.). Podobny odsetek studentów zaliczył drugi semestr w lutym 1995 r. i 1996 r.

Z analizy powyższych danych wynikają **dwa wnioski: pierwszy - egzamin maturalny**, jeśli celem naszym jest poprawa wyników kształcenia w PG, **powinien być progiem selekcyjnym przed podjęciem studiów przez posiadacza świadectwa dojrzałości; drugi** - wysoki odsetek studentów rezygnujących z nauki, bądź skreślonych w rezultacie niedostatecznych ocen w toku kształcenia w czasie I i II semestru, stanowi niepodważalny dowód na to, że **szkoła średnia nie jest w stanie przygotować wszystkich swych podopiecznych do studiowania w szkole wyższej**. Podstawową przeszkodą są tu: zróżnicowane uzdolnienia biorców, a także niezadowalająca dyscyplina uczenia się części edukowanych.

Jakość wyników nauczania w V LO byłaby lepsza, gdyby np. "odchudzono programy", zmniejszono liczbę osób w klasach z 36 do 30, a w klasie czwartej do 28, odteoretyzowano podawaną wiedzę, przeprowadzono więcej ćwiczeń - przykładowo z fizyki, podwyższono uposażenie przede wszystkim dobrym nauczycielom. Ankietowani kandydaci na studia na PG sugerowali potrzebę "utechnicznienia im zajęć". Zaproponowali, aby "fakultety z matematyki prowadzili nauczyciele akademiccy". Pytanie, czy kadra z PG "automatycznie" wyeliminuje występujące w zespole uczniowskim "zróżnicowanie zdolności matematycznych", nauczy młodzież myślenia matematycznego, wykształci w niej wyobraźnię np. w rozwiązywaniu zadań z geometrii płaskiej i stereometrii? W każdej klasie - potwierdza mgr M. Kowalska znaną prawdę - zawsze są uczniowie mniej uzdolnieni, i pomimo wzmożonej z nimi pracy dydaktycznej wyniki kształcenia nie satysfakcjonują nauczyciela.

Swoje krytyczne refleksje o systemie edukacyjnym w V LO wyrazili ankietowani studenci PG, byli maturzyści z oliwskiego liceum. Sugerowali oni pogląd, że.

- nie przygotowano ich dostatecznie do studiowania na PG, np. mieli braki z przedmiotów ścisłych (matematyki i fizyki),
- nie wyrobiono w nich krytycznej oceny wyników pracy własnej,
- nauczyciele "nie dość" przekonali swoich podopiecznych o potrzebie poprawy samodyscypliny w nauce i "poza nią",
- niektórzy nauczyciele "nie są jeszcze mistrzami" w swoim zawodzie, w ich "warsztacie pracy" występują zauważalne niedociągnięcia dydaktyczne, które postrzega się patrząc na V LO z pewnego dystansu czasu.

Niepokojący pogląd na temat problemu wychowania młodzieży w szkole wyrazili ankietowani uczniowie z V LO i studenci PG. Stwierdzili oni, że "nikt ich nie wychowuje" i "nie widzą potrzeby takich zabiegów ze strony nauczycieli". Z analizy ich wypowiedzi zawartych w ankietach, a także z przeprowadzonych sondażowych wywiadów wynika, że zdecydowana większość badanych nie umiała zdefiniować pojęcia "wychowanie". Najczęściej kojarzono to z indoktrynacją, ideologizacją. Takie skojarzenia mają swe źródło w szkole, w domu, środowisku, a może i w środkach masowego przekazu?

Zdecydowana większość nauczycieli ze szkół średnich i PG - jak wynika z przeprowadzonych z nimi wywiadów - uzasadniała, że w swej pracy dydaktycznej oddziałuje wychowawczo Bowiem nie może istnieć sytuacja, aby szkoła średnia i uczelnia nie spełniały swego posłannictwa i nie kształtowały pozytywnej osobowości młodego pokolenia - stwierdzali badani nauczyciele.

Dziś, w dobie "zachłystywania się wolnością", ingerencja w prywatność - poprzez wychowawcze oddziaływania - w rozumieniu licznej młodzieży, jest zagrożeniem dla jej wolności. Rozprzestrzeniająca się patologia, nie tylko w Polsce, wymusza tak na szkolnictwie, jak i rodzicach młodego pokolenia potrzebę kształtowania jego prospołecznych postaw, w tym "cnót obywatelskich". Przykład potrzeby zintensyfikowania wysiłku wychowawczego w systemie edukacyjnym dał rząd francuski, a następnie władze oświatowe innych krajów "zeuropeizowanych". Państwa te nakazują np. "formowanie pozytywnego obrazu" studenta. A. Adler pisał: "Tacy w życiu jesteśmy i tak się zachowujemy, jaki mamy obraz siebie". Budowanie pozytywnego obrazu kształconych dokonuje się nie tylko poprzez przekaz rzetelnych informacji o źródłach aspołecznych zachowań różnych ludzi, o jawiących się niebezpieczeństwach dla życia i osobowości młodych. Trzeba aby nauczyciel, a to wynika z jego zawodowej powinności, pozytywny obraz edukowanych formował poprzez "przykładową dyscyplinę własną", wysoką kulturę języka i zachowań, kulturę polityczną i demonstrowanie "istoty sensu życia".

*

Z analizy zaprezentowanych tu efektów badań wynika znaczące pytanie: czy szkoła średnia, a zwłaszcza uczelnia, powinna przygotowywać kształconego do zawodu (Beruf), czy do powołania (berufung)? Jeżeli nauczyciel udzieli sobie odpowiedzi na to pytanie, na pewno będzie musiał wiele zmienić w treściach swojego myślenia i stylu swej pracy zawodowej. Należy mieć nadzieję, że pedagogiczny wysiłek kadry, mający na celu wyrobienie w młodym pokoleniu powołania, będzie owocował rozumnym i skutecznym działaniem nowej generacji narodu w "tworzeniu cywilizacji przyszłości".

Edward Jarecki
Wydział Zarządzania i Ekonomii

Phare

Launch of the Course for Open Distance Learning Tutors

Train-The-Trainers Project

All participants:

- They must be able to read and write English very well;
- They must be able to work with the course minimum 5 and maximum 10 hours per week;
- They should preferably be able to participate in any other seminars, workshops and/or study group meetings organised by the National Facilitators;
- They should preferably have prior experience with the use of e-mail and the WorldWideWeb;
- They **must** have access to and be able to use the following equipment and services, either at their work, at home or at one of the regional ODL Study Centres:
  - An IBM-compatible PC (Windows 95) with CD-ROM, audio card and loudspeakers and with Word 95 or 97, an e-mail client (such as Microsoft Outlook, Microsoft Outlook Express, Eudora, Pegasus or Netscape Communicator), a WWW browser (such as Netscape Navigator or Microsoft Explorer);
  - Access to the Internet (via dial-up/modem connection or LAN), WWW (strongly recommended) and an individual and personal e-mail address (compulsory);
  - A telephone;
  - A fax;

By the end of the Course the participants will be able to:

- Identify key differences between ODL and face-to-face education and training;
- Inter-link ODL and conventional education and training, and to identify and exploit potential synergies between the two formats;
- Identify relevant delivery methods, media and technologies in ODL on background of an analysis of the specific needs and requirements of the addressed target group(s);
- Identify target groups and their education and training needs (Training Needs Analysis TNA);
- Adapt conventional course material and transform it into self-instructional ODL study material;
- Design and develop original ODL study material, printed and electronic;
- Design and develop user guidelines aimed at learners and teaching/support staff;
- Identify education and training markets and develop business plans for specific ODL offerings.

More details you can find at the URL: www.pg.gda.pl/~dec/phare/train/index.html
You can also contact people in **DECTUG (Centrum Edukacji Niestacjonarnej PG)**
Gmach B, rooms: 707/708, tel. 347 22 40, e-mail: blanka@pg.gda.pl

"Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz"

Słuszności podanego w tytule przysłowia nikt chyba nie kwestionuje, zastanawiające jest wszakże to, że nie wszyscy ludzie (czy zespoły ludzkie) starają się aktywnie wpływać na jakość swego posłania i że tak wiele osób zadowala się "legowiskiem", przygotowanym i zaoferowanym im przez innych.

Dla nas, pracowników Politechniki, czynnikiem bezpośrednio wpływającym na jakość "posłania" jest ustawodawstwo, dotyczące szkolnictwa wyższego i nauki. Nowy układ polityczny w parlamencie pozwala spodziewać się zmian w treści interesujących nas aktów prawnych, a przecież w naszym interesie jest kontrolowanie tych zmian i wpływanie na ich charakter

Wiele rzeczy należałoby w odnoszących się do nas aktach prawnych zmienić. Można (i trzeba) spierać się o ich wykaz i o hierarchię ważności. Ale z pewnością do najbardziej pilnych należy zmiana niewielkiego objętościowo warunku, zawartego w art.12 Ustawy o szkolnictwie wyższym, stanowiącego podstawę klasyfikacji wyższych uczelni. Zgodnie z jego treścią, uczelnie zatrudniające co najmniej 60 tytularnych profesorów, w których przynajmniej połowa wydziałów ma uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora habilitowanego, należą do kategorii "lepszej". Przy powierzchownej lekturze oba te wymogi mogą wydawać się słuszne. Wszak ich intencją jest dbałość o poziom uczelni. Jednakże, po bliższej analizie, drugi z tych wymogów nie wytrzymuje krytyki.

Wyobraźmy sobie jakiś ośrodek akademicki znajdujący się w regionie o jakiejś specjalizacji obiektów gospodarczych. Jest to sytuacja realistyczna (Łódź, Bielsko-Biała - przemysł włókienniczy, Śląsk - przemysł wydobywczy i hutniczy, Rzeszów - przemysł lotniczy itp.), nie tylko w Polsce. W naturalny sposób w takiej uczelni dominować będą wydziały o profilu odpowiadającym specjalizacji regionu. Jednakże w świetle omawianego tu wymogu, nawet bardzo silne wydziały, o ile są w mniejszości (co będzie typowe dla omawianej sytuacji), nie mają szans na podniesienie rangi uczelni, a same zostaną "utopione" przez urzędników centrali. Bo jakie są szanse wpływania przez jeden wydział na poziom innego? Znikome, a wobec specyfiki życia uniwersyteckiego ewentualne pouczenia pod adresem "słabszego" byłyby odebrane przynajmniej jako nietakt

Zresztą nie trzeba się odwoływać do specjalizacji regionu. Wystarczy, że nawet przypadkowo na jednym wydziale wyższej uczelni pojawi się kilku uzdolnionych i pracowitych ludzi. Omawiany tu przepis będzie niwelował wpływ tych osób na inne wydziały, zamiast wzmacniać i propagować ich pozytywne działania

W dobrze funkcjonujących krajach byłoby wręcz nie do pomyślenia, aby na przykład grupa noblistów została poddana

ministerialnej kurateli tylko dlatego, że postanowili oni podjąć wspólną pracę na niedużej uczelni. U nas niestety kuratela taka byłaby ustawowym obowiązkiem.

Rozważania powyższe nie są oderwanymi od rzeczywistości dywagacjami, gdyż omawiany tu przepis ma bezpośredni wpływ na działania podejmowane w polskich uczelniach. Także w Politechnice Gdańskiej. Jeżeli bowiem w uzasadnieniu decyzji o połączeniu mechanicznych wydziałów naszej uczelni można znaleźć argumenty merytoryczne, to zapowiadające się połączenie Wydziału Budownictwa Lądowego z Wydziałem Inżynierii Środowiska ma na celu tylko spełnienie niefortunnego, sztywnego i szkodliwego przepisu formalnego.

Jest ten przepis spokrewniony z komendą "szlusuj!", na którą w nacierających według staroświeckich zasad taktyki czworobokach piechoty łączono szeregi, uzupełniając zabitych w czasie natarcia żołnierzy. Specjaliści od taktyki dawno już pojęli, że utrzymywanie sztucznie ustalonej liczby przepisowo zwartych szeregów prowadzi do osłabienia, lub nawet do zniszczenia całego oddziału, i zmienili swe zasady. Najwyższa pora, byśmy również zrobili to samo.

Krytykowany tu przepis należy w trybie pilnym uchylić także ze względu na kontekst pierwszego z wymogów, zawartych w art.12 Ustawy, a dotyczącego minimalnej liczby profesorów tytularnych.

W przeciwieństwie do poprzedniego, ten warunek trzeba generalnie uznać za właściwy, choćby dlatego, że tytuł naukowy jest istotnym dowodem kwalifikacji jego posiadacza. Osobną rzeczą jest oczywiście ocena sytuacji i perspektyw w tym zakresie. Są one złe, lecz jest to temat na osobną dyskusję (patrz na przykład "PISMO PG" nr 8/95, lub nr 6/97). Tutaj trzeba tylko zaznaczyć, że łączenie wydziałów jako metoda "wzmacniania" uczelni byłoby elementem pogarszającym warunki uzyskiwania tytułów naukowych. Cóż bowiem mają zrobić posiadający jaki-taki dorobek pracownicy "mocniejszego" wydziału, gdy dla spełnienia formalnego, urzędowego warunku wrzucani są do jednego kotła z pracownikami wydziału "słabszego"? Z pewnością nie zachęci ich to do spełniania i tak już bardzo wygórowanych wymogów awansowych, a w dodatku zmniejszy się ich dostęp do i tak już śmiesznie małych środków finansowych.

Ponadto trzeba pamiętać, że oba warunki (liczba profesorów i liczba wydziałów) działają niezależnie od siebie. Jeżeli więc dla spełnienia drugiego z nich będziemy redukować (przez łączenie) liczbę wydziałów uczelni, nie dbając jednocześnie o wzrost liczby pracowników posiadających tytuły naukowe, to i tak w końcu spadniemy do gorszej kategorii (nawet jeżeli 100 %, czyli oba pozostałe po łańcuchu połączeń wydziały, naszych jednostek organizacyjnych będzie miało uprawnienia habilitacyjne), a w dodatku uruchomimy negatywne mechanizmy motywacyjne wśród kadry.

Pozostaje więc tylko jedno - podjąć energiczne działania, we współpracy z innymi uczelniami, mające na celu jak najszybsze uchylenie wadliwego przepisu, deprecjonującego rzetelne wysiłki pracowników naukowych, w imię sztucznie wymyślonego warunku formalnego. To naprawdę pilna sprawa!

Jerzy M. Sawicki
Wydział Inżynierii Środowiska



Podyplomowe Studia Zarządzania Środowiskowego
Environmental Management - ENVIMAN
PHARE Multi-country Programme in Distance Education

ENVIMAN jest akronimem wyrażenia *Environmental Management* czyli Zarządzane Środowiskowe. Kurs ten powstał w *Helsinki University of Technology, Lifelong Learning Institute Dipoli* W 1997 r. został oceniony jako jeden z najlepszych przez Komisje Unii Europejskiej.

Szkolenie to proponowane jest obecnie przez Centrum Edukacji Niestacjonarnej i Centrum Ochrony Środowiska PG studentom i absolwentom różnych kierunków Politechniki Gdańskiej. Nauka odbywa się przy wykorzystaniu multimedialnego środowiska sieciowego Interentu: narzędzi takich jak telekonferencje, krajowe i międzynarodowe witryny WWW z zakresu zarządzania środowiskowego, listy dyskusyjne e-mail itp.

Wyjątkowość programu ENVIMAN polega na zastosowaniu w procesie kształcenia najnowszych technologii informatycznych, z którymi uczestnik zapoznaje się w pierwszej fazie szkolenia. Kolejną korzyścią dla studentów jest możliwość poszerzenia swojej znajomości angielskiego, ponieważ przygotowane są materiały kursowe w tym języku.

Partnerami Projektu są: Helsinki University of Technology, Finlandia; University of Miskolc, Węgry; Politechnika Gdańska, Polska; Technical University of Kosice, Słowacja.

Celem programu tych studiów jest dostarczenie uczestnikom najnowszych informacji i strategii z dziedziny zarządzania środowiskowego. Studia są oparte na materiale "Wybrane tematy z zakresu zarządzania środowiskowego", który był przygotowywany przez UNESCO i wykorzystywany jest w międzynarodowych projektach kształcenia Unii Europejskiej.

Tematykę kursu stanowią zagadnienia: *Environmental Management, Environmental Law, Evolution of Environmental Management, Environmental Assessment Methods, Life Cycle Assessment, Environmental Impact Statements, Environmental Auditing, Economic Assessment, Related Issues in Environmental Management, Environmental Design, Case Studies.*

Charakterystyka kursu

Kurs będzie trwał 6 miesięcy i podzielony jest na jedenaście modułów. Uczestnicy będą mieli dostęp do materiałów szkoleniowych oraz możliwość kontaktu z nauczycielami za pośrednictwem sieci Internet. Kurs kończy się obroną pracy. Od uczestników wymaga się:

- posiadania dostępu do sprzętu komputerowego i sieci Internet,
- podstawowych wiadomości z zakresu obsługi komputera,
- dobrej znajomości języka angielskiego.

W kursie mogą wziąć udział absolwenci uczelni wyższych, studenci starszych lat (od 3 roku) Liczba miejsc jest ograniczona (maksymalnie 20). Po ukończeniu kursu z wynikiem pozytywnym absolwenci otrzymują dyplom Helsinki University of Technology.

Szczegółowe informacje można uzyskać:
mgr inż. Anna Grabowska
Centrum Edukacji Niestacjonarnej Politechniki Gdańskiej,
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
Gmach B, pokój 707, telefon: +48 58 347 22 40
e-mail: blanka@pg.gda.pl

Obrazki z zawodowego życia absolwenta (cd.)

Po delegacjach do obsługi montażu i prób silników "ZGODA-SULZER" w Bułgarii i w Rumunii, przyszła kolej na Węgry. W Budapeszcie jest nad Dunajem stocznia, która po węgiersku nazywa się "Magyar Hajó Darugyar". Znaczy to ""Węgierski Zakład Budowy Statków i Dźwigów". Ciekawe, że słowo "daru" tak po węgiersku, jak i po polsku znaczy "Żuraw", co w obu językach może być ptakiem lub dźwigiem. Stocznia ta wybudowała dla nas wycieczkowiec morski m.s. "Mazowsze", a w latach 1971-1973, gdy tam bywałem, zbudowała setny z kolei, stutonowy samobieżny dźwig pływający. Z tej setki kilka pracuje do dziś w polskich stoczniach, a reszta, jak widziałem tam w wykazie, wykonywała prace w portach i stoczniach wszystkich ziemskich kontynentów.

Nasze silniki napędowe montowano na niewielkich kabotażowcach, które podobno wchodziły w skład reparacji wojennych dla ZSRR. Nie wiem tylko czy to było za lata 1939-1945, czy za rok 1956.

Chodziły tam słuchy, że ZSRR natychmiast odprzedawał te jednostki Arabom i innym krajom afrykańskim. Było tych statków kilkanaście, z czego nadzorowałem 5 czy 7, już nie pamiętam. Językiem kontraktowym był niemiecki, więc porozumiewałem się gładko. Większość Węgrów, z tradycji cesarsko-królewskich, znała niemiecki dobrze

Raz jeden pojechałem do Budapesztu z naszym monterem, gdy wykryłem w silnikach dość poważny błąd i trzeba było wymienić w kilku egzemplarzach tak zwane rury teleskopowe, służące doprowadzeniu i odprowadzeniu oleju chłodzącego tłoki Wieźliśmy z Polski dość duży ładunek tych rur, na szczęście niezbyt dużych i ciężkich, bo silniki typu TD36 były niewielkie.



Model statku wyprodukowanego w jednej z węgierskich stoczni

Węgrzy prowadzili budowę na dużo wyższym poziomie technologicznym niż wówczas Bułgarzy i Rumuni, i nie widziałem u nich operacji, nie do pomyślenia na przykład w polskich stoczniach, polegających na paleniu kształtowników i spawaniu konstrukcji podłogi w siłowni, gdy równocześnie pracowały zespoły prądotwórcze, a instalacja paliwowa była wypełniona. Nie widziałem też wytaczania otworu na wał śrubowy w tylnicy za pomocą wytaczadła napędzanego przez przekładnię silnikiem elektrycznym z niczym nie osłoniętymi paskami klinowymi. A działo się to na ażurowym i chybotliwym rusztowaniu, na którym wytaczarz spał spokojnie na wąskiej desce kilkanaście centymetrów od biegających pasków i parę metrów nad podłożem. Tego typu obrazki były na porządku dziennym u Bułgarów i Rumunów, i nikogo prócz mnie i polskich załóg nie szokowały. W Rumunii widziałem też wodowanie dość dużego kadłuba z pochylni, którą stanowiły drewniane tory-bale, ułożone prostopadle do brzegu. Kadłub na rusztowaniu osuwał się powolutku po tych torach, przytrzymywany przez kilkanaście lin stalowych, nawiniętych na budowlane, ręczne wciągarki. Przy każdej wciągarce stał robotnik i kręcił ostrożnie korbą, popuszczając swoją linę i uważając, aby była równomiernie napięta z pozostałymi. Taki proces wodowania trwał tam niemal cały dzień.

Ponieważ u Węgrów nie widziałem tego rodzaju ciekawostek technicznych, trudno mi opisywać służbową część mojej delegacji. W tej chwili przypomniała mi się jeszcze jedna rumuńska technologia. Chodziło o jakiś proces metalurgiczny dotyczący odlewów, staliwnych chyba. Wykopano głęboki na około półtora metra dół w ziemi i spalono w nim duży ładunek drewna tak, że powstała gruba warstwa żaru. Następnie przywieziono tam świeży, gorący jeszcze odlew, zagrzebano w tym żarze i przysypano ziemią. Leżał on tam kilka dni, po których wyjęto go do obróbki mechanicznej. Ten proces przypomniał mi opowieść o cymbałkach w kościółku w Dębnie podhalańskim. Cymbałki te odznaczają się tym, że największa płytka wydaje ton najwyższy, a najmniejsza i najcieńsza najniższy. Są ponoć na świecie dwa egzemplarze takich cymbałków, pochodzą one jakoby z Chin i proces ich obróbki termicznej polegał m.in. na zakopaniu ich na kilkadziesiąt lat w ziemi. Ksiądz opowiadający to w mojej obecności wygrał na tych cymbałkach melodię "Kiedy ranne wstają zorze".

Ale wróćmy do węgierskiej stoczni. Podczas jednego z moich pobytów wprowadzano tam w przemyśle znane u nas ""Normy Technicznie Uzasadnione" Polegało to na analizie pracochłonności poszczególnych operacji wytwarzania, z odgórnym nakazem zmniejszenia tej pracochłonności o ustalany z góry procent. Chodziło o zwiększenie wydajności pracy za te same, lub oszczędniejsze pieniądze. Oczywiście równolegle poszczególne komórki organizacyjne zakładu były zobowiązane do opracowania propozycji i wniosków uaktywniających "postęp techniczny" i podnoszenie mechanizacji produkcji dla usprawiedliwienia obcięcia pracochłonności. Najczęściej te wysiłki usprawniające pozostawały na papierze, a cała akcja kończyła się na podwyższeniu wysiłku robotników. Zorientowałem się, że akcja ta zbiegła się w czasie z tym samym procederem w Polsce, co nasunęło mi na myśl podejrzenie, że inicjatywa wyszła z RWPG i dotyczyła wszystkich demoludów. Inna rzecz, że obowiązujące wówczas normy były mocno rozluźnione i idea była ekonomicznie słuszna, tyle że metoda jej wprowadzania charakteryzowała obowiązujący system polityczny. Oczywiście robotnicy byli rozgoryczeni. I nie dziwota. Skutki nie dały na siebie długo czekać.

Równolegle do naszych silników Węgrzy montowali na tych jednostkach NRD-owskie zespoły prądotwórcze firmy SKL Były to trzy małe agregaty o silnikach spalinowych nie większych od samochodowych. Do obsługi ich był monter - Niemiec, stale mieszkający w Budapeszcie i mający pieczę nad swoimi silnikami nie tylko w stoczni, lecz również na holownikach i samobieżnych barkach pływających po Dunaju, z których większość miała właśnie silniki z tej firmy. Miałem z nim niezłe kontakty, choć często przygryzaliśmy sobie wzajemnie odnośnie do "nowoczesności" naszych silników, których modele były

już dość wiekowe. Kiedyś w żartach nazwałem jego agregaty "Milchzentrifugen", za co odpłacił mi, mówiąc na mój silnik "Kafeemühlemotor". Podczas przeglądu części silników po próbach zauważyłem, że obejrzane przez przedstawicieli armatora i towarzystwa klasyfikacyjnego tłoki montuje on na powrót do cylindrów, nie oczyściwszy ich z nagaru. Zauważył, że przyglądam się krytycznie jego robocie i zapytał, co mam na myśli? Odpowiedziałem, że zawsze słyszałem o niemieckiej solidności w pracy i o dokładnej, czystej robocie. Wtedy odrzekł z widoczną zgryźliwością :"Das war einmal. Jetzt ist alles Scheiss" (To było kiedyś, teraz jest wszystko zas...e). Ta odpowiedź doprowadziła później do zwierzeń, w których z niekłamaną zjadliwością opowiedział mi o stosunkach w NRD, o zakłamaniu, o szpiegowaniu, o przekupstwie i łapownictwie, o szerzącej się nieufności wzajemnej wśród ludzi. Nadzorując w różnych krajach swoje silniki był on niemal we wszystkich państwach satelitarnych nad Dunajem, również w Polsce, w gdańskiej stoczni '"Wisła". Zrobił mi takie zestawianie: najlepiej jest na Węgrzech, na drugim miejscu jest Polska, potem Bułgaria i Rumunia, a "in DDR ist alles Scheiss". Przyznał mi się, że jego pobyt w Polsce zbiegł się z wypadkami gdańskimi 1970 r. i widział jak się nasz "Parteitag" palił. Patrzył na to z zazdrością i podszedł tak blisko, że milicja chciała go przymknąć. Pokazał im paszport, że jest obcokrajowcem, dali mu spokój i mógł się wszystkiemu przyglądać z bliska. Wyrażał się o Polakach z tych dni z wielkim uznaniem.

Bywał też w budapeszteńskiej stoczni inny Niemiec, ale z NRF, który przyjeżdżał do silnika napędowego dźwigu pływającego, ale mniejszego niż wspomniany wcześniej stutonowy. Był ten Niemiec wysoki i gruby, a odznaczał się tym, że przynosił do pracy dużą teczkę wypchaną kilkunastoma butelkami piwa różnych marek węgierskich i niewęgierskich. Chwalił się, że mu to piwo smakuje, cmokał z zadowolenia i cieszył się, że wypada mu ono dużo taniej niż w jego ojczyźnie.

W kontaktach z Niemcami zauważyłem, że obaj lgnęli do mnie, byłem dla nich obiektem zainteresowania, nigdy nie okazali mi nic, co mógłbym uznać za nietaktowne, ciągnęli mnie na rozmowy i nawet dochodziło z ich strony do zwierzeń. Może do tego przyczyniły się niedawne wówczas wypadki gdańskie, może to już były zmiany mentalności w 25 lat od zakończenia wojny, może przemiany na niekorzyść w NRD wykazały wszystkim prawie Niemcom, że nie rasa czy cechy narodowe, lecz historyczne warunki kształtują człowieka?

Pracowali też w stoczni "gastarbeiterzy" z Czechosłowacji. Przypuszczalnie byli to Słowacy i nieźle mówili po polsku. Kiedyś zaczepili mnie z propozycją: "Brat Polak! Chodź z nami na ku..." Zaczęli mi zachwalać, że są do dyspozycji i Węgierki, i Czeszki, i Rumunki, i Polki, a wszystkie piękne i miłe. Ja jednak wolałem popołudnia i wieczory spędzać w teatrach operowych, których Budapeszt ma dwa, w salach koncertowych i na wycieczkach krajoznawczych. Do tego rodzaju rozrywek miałem zawsze duży pociąg, tak że po kilku pobytach w Budapeszcie mawiałem, że ze wszystkich polskich miast najlepiej znam Budapeszt. Było to właściwie prawdziwe, bo poruszałem się po nim zupełnie swobodnie, a ułatwiało mi to przydzielanie przez stocznię, na jej koszt, biletu miesięcznego ważnego na wszystkie miejskie środki komunikacji. Każdy mój pobyt służbowy trwał od trzech do pięciu tygodni, miałem więc olbrzymie możliwości turystyczne i kulturopoznawcze. Największą frajdą były opery, których "zaliczyłem" kilkanaście, w czym pomógł mi przewodnik operowy napisany przez Józefa Kańskiego, z którym się woziłem na wszystkie zagraniczne delegacje i wycieczki. Dieta wynosiła 140 forintów. Na jedzenie, korzystając z dobrej i taniej stołówki stoczniowej, wydawałem nie więcej niż 40 dziennie, więc stówa zostawała na rozrywki i kupowania najróżniejszych przydatnych rzeczy, w które Węgry były lepiej zaopatrzone niż Polska. Od tego czasu mam jeszcze trzy koszule z Budapesztu, o których nikt nie powie, że mają już po 25 lat. Tak bilet, jak i mieszkanie miałem za darmo, bo według przepisów RWPG zakład zamawiający wyrób miał obowiązek zakwaterować i zapewnić darmowy dojazd do pracy mechanikowi gwarancyjnemu, czy innemu delegatowi do nadzoru i obsługi wyrobu. Kwatera prywatna była tańsza niż hotel, więc z reguły umieszczano takich delegatów prywatnie. Mieszkałem więc w większości wypadków u wdowy z dwiema córkami w wieku moich synów. Ponieważ panie były na poziomie, umówiliśmy się na zamianę dzieci podczas wakacji.

Dzięki temu dwaj moi synowie mieli dwutygodniowy pobyt w Budapeszcie i okolicy z mieszkaniem i wiktem za darmo, a następnie dwie dziewczyny na tych samych warunkach spędziły dwa tygodnie u nas. Młodzi przypadli sobie do gustu i mieli razem udane wakacje, W następnym chyba roku i ja z żoną odwiedziłem mamę dziewcząt w Budapeszcie, i z kolei ona odwiedziła nas w Gdańsku. Było to lato, gdy z Gdańska do Budapesztu latał chyba dwa razy w tygodniu samolot IŁ-18, sprawa więc była prosta. Tym bardziej, że wówczas nasze dochody bardziej przystawały do cen tego rodzaju eskapad niż dziś, mimo że obie rodziny nie należały do bardzo zamożnych.

Bywając na Węgrzech brałem ze sobą przewodnik po tym kraju, opisujący również w skrócie dzieje i obyczaje tego narodu. W opisie Budapesztu podkreślone było istnienie wyspy Csepel na Dunaju, na której znajdowały się liczne zakłady przemysłowe, m.in. znana nam fabryka autobusów Ikarus. Wyspa ta, przemysłowo-robotnicza, była - jak opisywał autor przewodnika - ośrodkiem węgierskiego ruchu robotniczego, bastionem socjalizmu i miejscem, skąd pochodzili działacze i przywódcy węgierskich komunistów. Tu kształtowały się najszlachetniejsze charaktery ludzi, oddanych ideom sprawiedliwego braterstwa ludów... itd., itp., itd. Pojechałem którejś niedzieli obejrzeć tę wyspę. A wcześniej napatrzyłem się pięknych dzielnic śródmieścia i przedmieść, wielkich i małych sklepów z otwartymi witrynami, domów dużych i małych, łatwo dostępnych z dostępnymi łatwo drzwiami, ogródków z furtkami zamykanymi tylko na haczyk. I po tych wrażeniach wszedłem w ową robotniczą dzielnicę i zobaczyłem też małe domki i sklepy, co mnie nie zdziwiło. Ale zdziwiło mnie to, że wszystkie drzwi i okna były okratowane, zamykane na potężne zamki i kłódki i zabezpieczone stalowymi sztabami. Był to naprawdę wstrząs. Ludzie budowali się tam i grodzili tak, jakby obawiali się napadu, rabunku, kradzieży... Czyżby to była obawa przed najściem kapitalistów i burżujów chciwych krwi robotniczej? Coś mi to nie grało. Ten opis i ta rzeczywistość. Wróciłem do śródmieścia z dziwnymi refleksjami. Refleksyjny był też jeden z powrotów do Polski. Jest w Budapeszcie sporo pijalni piwa i wina. Są one na ogół pełne ludzi. Ale pijanych na ulicy nie widziałem. Raz tylko w podmiejskim autobusie podpity jegomość zachowywał się głośno, ale skarcony przez pasażerów uciszył się. Gdy wylądowawszy w Warszawie wsiadłem do miejskiego autobusu w kierunku śródmieścia, weszło też kilku osobników na sporym gazie. Byli głośni i rzucali - jak to pisał Wiech - "publicznem słowem". Reszta trzeźwych pasażerów wyraźnie się tym zjawiskiem bawiła i traktowała tych chamusiów pobłażliwie. I to był dla mnie też wstrząs. Cdn.

Krzysztof Targowski
Absolwent Politechniki Gdańskiej

Wspomnienia

Tłum młodych ludzi kłębił się przed zamkniętą bramą główną Politechniki Gdańskiej. Rozpiętość wieku znaczna. Wielu po obozach, partyzantce, część żołnierzy września, ale część młodych maturzystów liceów konspiracyjnych również.

Jest jesień 1945 roku, wrzesień. Za bramą, młody człowiek na jakimś podwyższeniu oznajmia decyzję Rektora o przyjęciu bez egzaminu wszystkich tych, którzy mają za sobą najmniej półtora roku obozu. Ucieszyłem się, bo z niewoli zbiegłem w lutym 1942 roku, czyli po dwu i pół roku, a po pięciu latach przerwy od matury nie byłem zbyt dobrze przygotowany do egzaminu. Ten sam człowiek odczytuje następnie listy przyjętych na poszczególne wydziały. Słyszę: Wojciech Winiarski - Wydział Elektryczny, Jacek Winiarski - Wydział Mechaniczny. Brat przyjęty został również bez egzaminu, gdyż studiował na tajnej politechnice w Warszawie. Skąd tu tylu Winiarskich - odzywa się głos za moimi plecami. Zdenerwowałem się i podniesionym głosem zapytałem stojącego za mną blondynka - może ci się to nazwisko nie podoba? Ależ bardzo mi się podoba, bo ja też jestem Winiarski - mówi Ryszard, również przyjęty na Wydział Elektryczny. Mój brat również przeniósł się na ten Wydział, więc było nas trzech Winiarskich na jednym Wydziale i roku. Pierwszy wykład dla naszego Wydziału, i chyba również dla mechaników i okrętowców, miał w Audytorium Maximum wykładowca geometrii wykreślnej, Lewandowski. Chyba w tym samym dniu i w tej samej sali miał wykład prof. Wolfke, który zwrócił nam uwagę, żeby nie wstawać, szkolnym zwyczajem, przy wejściu profesora.

I potoczyły się dni żmudnej szarej pracy, jakże różne od pełnego napięć i zdarzeń konspiracyjno-partyzanckiego życia i okresu uników przed "ludową sprawiedliwością" polującą na żołnierzy AK. Było mi bardzo ciężko wtłoczyć się w trudne i biedne studenckie życie. Pewnych emocji dostarczały kolokwia i egzaminy będące namiastką dawnych burzliwych przeżyć. W roku 1946 musiałem rozejrzeć się za jakąś pracą i zgłosiłem się do Straży Akademickiej. Jako były żołnierz zostałem drużynowym. Naszym szefem był profesor kapitan Minc z Wydziału Chemicznego. Mieliśmy karabiny i pistolety automatyczne. Patrolowaliśmy całą dobę teren Politechniki oraz mieliśmy posterunki w domach we Wrzeszczu, zarezerwowanych dla profesorów, którzy mieli wykładać na różnych wydziałach Politechniki.



Kazimierz Parell (z prawej) i Zenon Knorowski przed Politechniką Gdańską zimą 1945/46 r (Ze zbiorów Kazimierza Parella)

O ile gmachy różnych wydziałów były w znośnym stanie, o tyle gmach główny był zniszczony, szczególnie w środkowej części, która poza tym była wypalona i nie istniała od strony ulicy Traugutta, tak że ze schodów mogliśmy tę ulicę obserwować. Obecne sale 211, 311 zamienione zostały przez Niemców na szpitale wojskowe. Było w nich pełno stojących wypalonych łóżek. Na jednym z nich można było zobaczyć spalonego człowieka z parabellum w ręku.

Między schodami głównymi prowadzącymi na piętra a oknami były stosy spalonych w pożarze książek, które zachowały swe kształty, a nawet można było odczytać ich tytuły. Te widmowe "księgozbiory" przy lekkim dotknięciu bezszelestnie osypywały się i znikały. Nad wejściem do gmachu głównego, w miejscu gdzie obecnie znajduje się sylwetka statku, umieszczona była złocona tarcza z wytłoczoną podobizną jakiegoś "Kajzera". W czasie patrolowania terenu Politechniki, któremuś z kolegów ze Straży Akademickiej przyszło do głowy, żeby tę blachę zerwać. Weszliśmy na balkonik nad wejściem i z trudem oderwaliśmy tarczę z "Kajzerem", która z łoskotem spadła na schody. Ów kolega wpadł na pomysł, aby "przehandlować" tę tarczę na którymś ze statków amerykańskich przywożących do Gdańska dary z UNRRA.

Poprzez organizację Bratnia Pomoc otrzymywaliśmy paczki żywnościowe przywiezione w ramach tej akcji. W maju 1946 roku ogłoszono strajk studentów Politechniki solidaryzujących się ze studentami Krakowa demonstrującymi z okazji 3 Maja, wśród których były ofiary śmiertelne w wyniku akcji milicji. Terror komunistyczny nabierał rozmachu, a brać studencka jeszcze nie była sterroryzowana i głośno wyrażała swe oburzenie.

My na Wydziale Elektrycznym byliśmy solidarni i strajkowaliśmy. W tym czasie mając służbę na Politechnice, zajrzałem w czasie obchodu na nasz Wydział i zobaczyłem w sali E41 kilkoro "pilnych studentów", którzy przyszli na ćwiczenia. Był to znikomy procent naszej społeczności liczącej ponad 200 ludzi.

Ponieważ z powodu braku opału rok akademicki został przesunięty, wykłady ciągnęły się do pełni lata. Wykład z części maszyn, profesora Polaka, mieliśmy wspólnie z mechanikami i okrętowcami. Siedzieliśmy w Audytorium Maximum, było gorąco, okna były otwarte i na sali panował przyciszony, lecz coraz głośniejszy gwar. W pewnej chwili profesor rysujący coś na tablicy odwrócił się i ze słowami "komunistom nie będę wykładał" wyszedł z sali. Zapanowała konsternacja, ale po chwili ustalono - przeprosić profesora. Szybko wybrana delegacja poszła przeprosić profesora i wykład potoczył się dalej, ale już w pełnej ciszy.

Audytorium Maximum było również miejscem niecodziennych spotkań. Pamiętam wizytę ówczesnych komunistycznych notabli z Osóbką-Morawskim jako premierem na czele. Byłem w grupie kolegów otaczających Osóbkę po jego wystąpieniu. Ktoś z nas zapytał go, czy nie obawia się o niekorzystny wynik wyborów, wtedy towarzysz Osóbka zapytał "czy znacie taki przypadek, żeby ten, kto jest przy władzy, przegrał wybory?"

Na zakończenie tych kilku wspomnień, obrazek znad Motławy w tamtych latach. Od mostu przy Zielonej Bramie do Żurawia był ciąg ruin budynków mieszczących dawniej sklepy. Na jednej z tych ruin zachował się szyld z nazwiskiem właściciela "Willi Pontschek". Dziwne uczucia wywoływał ten figlarny "paczek" na tle ściany ruin przeglądających się w wodzie Motławy.

Wojciech Winiarski
Wydział Elektryczny

O profesorze Włodzimierzu Hellmannie



Profesor Włodzimierz Hellmann (1911-1987)

Włodzimierz Hellmann urodził się 20 czerwca 1911 r. w Zakopanem, gdzie matka jego przebywała z powodu tajnej działalności politycznej swojej i swojego męża. Teść mój był działaczem niepodległościowym od 1904 r. (przebywał dwa lata w Cytadeli Warszawskiej), a cały okres I wojny światowej, w randze pułkownika, walczył w szeregach II Brygady Legionów. Po zakończeniu wojny rodzice mego męża wraz z dwójką dzieci zamieszkali w Warszawie, gdzie mój teść pracował na kierowniczym stanowisku w Instytucie Technicznym Uzbrojenia.

Zdał maturę w 1929 r. w znanym warszawskim Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Tego samego roku rozpoczął studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej i ukończył je w roku 1935. W okresie gimnazjalnym i w czasie studiów z dużym zaangażowaniem działał w harcerstwie. Był drużynowym sławnej 16. Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego.

Po ukończeniu studiów odbył roczną służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. W 1936 r. rozpoczął pracę zawodową w angielskiej firmie English Electric, elektryfikującej warszawski węzeł kolejowy. Od 1938 r. pracował w Biurze Projektów Zakładów "Ślązel" w Katowicach, gdzie był bardzo ceniony za fachowość oraz świetną znajomość języków angielskiego i niemieckiego.

31 sierpnia 1939 r. został powołany do 46. Dywizji Artylerii Ciężkiej w Modlinie. We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Warszawy i został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po kapitulacji Warszawy dostał się do niewoli, z której udało mu się zbiec jeszcze w drodze do obozu. Jak większość Polaków on i jego przyszła żona nie przeczuwali wojny - mieli więc zamiar wziąć ślub 1 września 1939 r. Po szczęśliwej ucieczce wzięli cichy ślub w kościele św. Stanisława na Żoliborzu 8 października 1939 r. Z powodu ucieczki męża z niewoli musieli się ukrywać i takie schronienie, a zarazem miejsce pracy znalazł profesor w Jabłonnie (koło Warszawy). Pełnił tu funkcję kierownika małej prywatnej elektrowni hr. Maurycego Potockiego.

Mieszkając wraz z rodziną przez całą okupację w Jabłonnie, należał do Armii Krajowej w Warszawie, do oddziału "Wojskowe Służby Ochrony Obiektów Energetycznych", pod pseudonimem "Bill". Brał czynny udział w powstaniu warszawskim, w rejonie Warszawa-Śródmieście, pod dowództwem mjr. Wołka. Został ranny w okolice krtani, przebywał w szpitalu, gdzie usunięto mu odłamek pocisku, i po dojściu do zdrowia dołączył do powstania. Rozkazem Głównego Dowództwa Armii Krajowej został awansowany do stopnia porucznika.

Po powstaniu warszawskim, cudem uniknąwszy niewoli i po odnalezieniu rodziny, żony i dwóch córek (syn urodził się w 1947 r.), wszyscy znaleźli się w Zakopanem, gdzie profesor przez kilka miesięcy kierował elektrownią na Olczy. Praca w AK w dziale Służby Ochrony Obiektów Energetycznych spowodowała, że już w 1945 r. został on skierowany do Bydgoszczy, gdzie powierzono mu organizację oddziału sieciowego i odbudowę urządzeń elektroenergetycznych, a potem funkcję dyrektora technicznego w Zakładach Energetycznych Okręgu Północnego. Z prac tych wywiązywał się bardzo dobrze. Jednocześnie był bardzo lubiany i szanowany przez podległy mu personel. Niestety, nadszedł rok 1953. Za odmowę wstąpienia do PZPR i poprzednią działalność w AK został z dnia na dzień pozbawiony swego stanowiska i usunięty z pracy. Jakim to było dla wszystkich zaskoczeniem i niesprawiedliwością niech świadczy fakt, że w roku 1996, a więc prawie w 10 lat po jego śmierci przyjechała do mnie do Gdańska delegacja z Bydgoszczy, by wręczyć mi medal przyznany "Uchwałą Zarządu Oddziału Bydgoskiego Stowarzyszenia Elektryków Polskich (pośmiertnie) Włodzimierzowi Hellmannowi za zasługi w rozwoju Elektroenergetyki Bydgoskiej w 100-lecie jej istnienia 1896-1996". Medal przyznany mojemu mężowi i słowa listu skierowanego do mnie były dla mnie miłe i wzruszające oraz



Lata sześćdziesiąte - od lewej: prof. W. Hellmann, prof. J. Marecki i prof. K. Kopecki

dowiodły, że są ludzie, którzy nie zapomnieli tego, co działo się w przeszłości.

Po tak smutnych przejściach roku 1953, dzięki życzliwości niektórych ludzi, w tym prof. Kazimierza Kopeckiego, mąż mój w roku 1954 rozpoczął pracę na Politechnice Gdańskiej, w Katedrze Elektroenergetyki, kolejno jako zastępca profesora, docent i wreszcie profesor. Doświadczenia zdobyte w poprzedniej pracy zawodowej pozwoliły na szybkie i wszechstronne rozwijanie działalności dydaktycznej, związanej głównie z elektroenergetyką i automatyzacją elektrowni.

Profesor był autorem wielu skryptów i podręczników. Między innymi w 1960 r. wydał podręcznik "Automatyzacja elektrowni wodnych", a w 1970 r. książkę "Zastosowanie analogowych maszyn matematycznych", za którą otrzymał nagrodę Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego. W 1979 r. otrzymał nagrodę Ministra Nauki za współautorstwo podręcznika "Regulacja częstotliwości i napięcia w systemie energetycznym", wydanego przez WNT.

Dużą wagę przykładał do szybkiego wdrożenia wyników badań naukowych w przemyśle energetycznym. W związku z tym w 1955 r. stworzył gdański oddział Instytutu Energetyki, którym kierował przez długie lata Spośród swoich dyplomantów i doktorantów zebrał w Instytucie zespół ludzi, którzy pod jego kierunkiem dokonali wielu osiągnięć uznanych w kraju i na świecie, potwierdzonych przyznaniem nagród państwowych w latach 1968 i 1972. Przykładem osiągnięcia na skalę światową było skonstruowanie regulatora napięcia dla turbogeneratorów o mocy 120 MW i rozpoczęcie jego produkcji w kraju, co właściwie wyeliminowało z rynku polskiego regulatory produkcji angielskiej.

Znając bardzo dobrze język angielski i chcąc podzielić się swoją wiedzą z innymi, w roku akademickim 1973/74 wykładał na uniwersytecie w Mosulu (Irak). Po przejściu na emeryturę w stworzonym przez siebie Instytucie Energetyki, skoncentrował się już tylko na pracy dydaktycznej i naukowej na Politechnice Gdańskiej, gdzie kierował Zakładem Elektroenergetyki i Automatyki. W czasie swej pracy był promotorem nowatorskich prac doktorskich, a wielu z jego wychowanków uzyskało stopnie i tytuły naukowe.

W 1981 r. przeszedł na emeryturę również na Politechnice, pozostając nadal czynnym zawodowo i naukowo. Szczególnie aktywnie uczestniczył w stworzeniu Podyplomowego Studium Energetyki Jądrowej.

Przyjmując lokalizację elektrowni jądrowej w Żarnowcu jako fakt dokonany, skoncentrował się na zapewnieniu jej bezpieczeństwa przez opracowanie raportów dotyczących bezpieczeństwa pracy elektrowni. Od 1981 r. był członkiem Rady Naukowej Instytutu Maszyn Przepływowych, a od roku 1983 członkiem Rady Naukowej Państwowej Agencji Atomowej. Jako jeden ze współtwórców gdańskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Elektrotechniki Teoretycznej i Stosowanej był cały czas bardzo czynny. Wygłaszał liczne odczyty, wprowadził w szeregi Towarzystwa swoich współpracowników, zarówno z Politechniki Gdańskiej, jak i z Instytutu Energetyki. W 1982 r. został wybrany przewodniczącym oddziału gdańskiego PTETiS. Będąc już na emeryturze, przetłumaczył z języka niemieckiego książkę pt. "Eksploatacja elektrowni jądrowych", która niestety została wydana już po jego śmierci.

Był człowiekiem ciepłym i serdecznym, na którego można było liczyć w każdej sytuacji. Jego pogodny charakter i poczucie humoru pozwalały mu wychodzić cało z wszystkich trudnych sytuacji życiowych i cierpliwie znosić przeciwności losu. Kochał góry, w młodości lubił chodzić z plecakiem w Tatry, a zimą jeździć na nartach. Lubił też morze, wodę - świetnie pływał. Jako byłemu kawalerzyście pozostała mu miłość do koni. Był wielkim melomanem, choć rzadko bywał na publicznych koncertach, preferował muzykę w domu.

Był wspaniałym mężem, ojcem trójki dzieci i dziadkiem ośmiorga wnucząt

Zmarł 27 października 1987 r. po krótkiej, lecz ciężkiej chorobie. Myślę, że jego wiedza i szlachetna postawa życiowa pozostają nie tylko w sercach jego rodziny, ale również tych, których wychował, i z którymi współpracował.

Halina Hellmann

Pamiątka wakacyjnej miłości

W chwili ludzkiego narodzenia,
jestem świadkiem nowego istnienia,
Początku nowego życia,
które nie ma nic do ukrycia,
które nie wie co to zło i cierpienie,
które będzie się nosić jako nowe pokolenie.

Od młodego wieku będzie czynić starania,
by stać się przykładem dobrego wychowania,
by nie zawieść mamy i taty,
by wzrastać jak na łące kwiaty,

Aż w końcu u progu dojrzałości,
stać się przykładem dla reszty ludzkości.
I w chwili przekroczenia tego progu,
być wdzięcznym za wszystko Bogu:

Za słońce i gwiazdy na niebie,
bo to one przypominają mi Ciebie.

Za trawę i kwiaty na łące,
co są jak Twe włosy pachnące.

Za wszystkie spełnione marzenia,
za wszystkie wakacyjne wspomnienia.

Za deszcz, wiatr i pogodę,
bo to one dają mi swobodę.

I na końcu za moją bratnią duszę,
którą w ręku trzymam jak okruszek,
Skrawek mojej prywatności,
Pamiątkę wakacyjnej miłości.

Roman Niewęgłowski
Samorząd Studentów PG

KAROLE
na Wydziale Zarządzania i Ekonomii PG

W tym roku Wydział Zarządzania i Ekonomii obchodzi jubileusz pięciolecia istnienia. Rocznica ta stanowi okazję do podjęcia próby analizy, oceny i wytyczenia kierunków rozwoju przedsięwzięcia, jakim jest działalność Wydziału. Nie chciałbym jednak zajmować się tym skomplikowanym zagadnieniem na łamach tego artykułu. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na zjawisko, które na stałe wpisało się w tradycję Wydziału i z całą pewnością wymaga kultywowania. Chodzi o Konkurs KAROLE



Przesłaniem tego corocznego Konkursu jest wyłonienie i nagrodzenie najlepszych prac projektowych wykonanych przez studentów Wydziału dla potrzeb wybranych firm, na podstawie ich rzeczywistej sytuacji rynkowej, techniczno-organizacyjnej i finansowej

Konkurs, już od pierwszej edycji, przyjął nazwę KAROLE dla uhonorowania osiągnięć wybitnego polskiego ekonomisty prof Karola Adamieckiego (1866-1933), współtwórcy naukowych podstaw organizacji i zarządzania

Początki

Historia Konkursu datowana jest od 1993 roku. Po raz pierwszy został on zorganizowany w Instytucie Organizacji i Projektowania Systemów Produkcyjnych dzięki spontaniczności studentów i pracowników akademickich. Szczególne podziękowania należą się w tym miejscu dr. inż. Markowi Wirkusowi, dr. inż. Jerzemu Koszałce oraz mgr. inż. Władysławowi Stachowskiemu. Konkursowi patronowali Wojewoda Gdański oraz władze Politechniki. W rok później Instytut został wchłonięty przez tworzący się Wydział Zarządzania i Ekonomii, gdzie KAROLE trafiły na podatny grunt, co zaowocowało ich trzema kolejnymi (1994-1996) edycjami



Nieoficjalna część uroczystości rozdania nagród to bardzo dobra okazja do nawiązania kontaktów z przedstawicielami różnych środowisk. Trzeci od lewej - prof Witold Andruszkiewicz, przewodniczący Kapituły Konkursu KAROLE '98

Z roku na rok Konkurs zdobywał sobie coraz trwalszą pozycję w życiu Wydziału. Został także spopularyzowany w środowisku gospodarczym regionu. Nominowani oraz laureaci Konkursu mogli właśnie dzięki niemu udanie rozpocząć budowanie swych karier zawodowych. O niektórych z nich zabiegały firmy, które dostrzegły szansę w zatrudnianiu młodych, zdolnych i dobrze wykształconych ludzi. Można w tym miejscu podać kilka przykładów, jak choćby Sławomir Chrupek (dyrektor ds. finansowych w firmie Organika-Propex), Michał Tajsich (kierownik Działu Handlowego w firmie Young Digital Poland) czy Michał Nieścioruk (specjalista ds. organizacji i zarządzania w firmie Petrobaltic). Inni studenci biorący udział w Konkursie poszli drogą naukową i są cenionymi pracownikami Wydziału. Najlepszym przykładem jest tu mgr inż. Jarosław Cichy - autor kilkunastu artykułów w periodykach naukowych, współpracownik wielu przedsiębiorstw i organizacji z terenu Wybrzeża Gdańskiego w ramach międzynarodowych projektów (TEMPUS, TESSA, FIESTA) finansowanych z programu PHARE, stypendysta programu Action for Cooperation in the Field of Economics, fundowanego przez Komisję Europejską w Brukseli, stażysta w wielu uczelniach europejskich (European Business Management School, University of Wales, Univeristy of Abertay Dundee, University of Potsdam, University of Barcelona), laureat Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej w 1998 roku.

Dzień dzisiejszy

Po 2 latach przerwy, spowodowanej przede wszystkim przesunięciami w programach studiów, w 1998 roku pomysł organizacji KAROLI odżył na nowo wśród studentów Wydziału. Tegoroczna, jubileuszowa V Edycja Konkursu objęła prace projektowe w następujących kategoriach:

- plan marketingowy,
- projektowanie systemów produkcyjnych (biznes plan),
- procesy innowacyjne

W każdej kategorii nominowanych było pięć prac, a nagrodzona jedna. Nominacji prac projektowych dokonywali nauczyciele akademiccy prowadzący zajęcia projektowe. Następnie Kapituła Konkursu, składająca się z pracowników naukowych Wydziału, przedstawicieli przedsiębiorstw i studentów, wybrała spośród nominowanych prac najlepsze w każdej kategorii i przyznała ich twórcom nagrody KAROLE w postaci statuetek oraz dyplomów honorowych. Dzięki hojności Mecenasów Konkursu laureatom zostały przyznane również wysokie nagrody pieniężne i wartościowe nagrody rzeczowe. Poza tym wszyscy nominowani otrzymali pamiątkowe dyplomy wyróżnienia.

Finał - uroczystość wręczenia nagród - Konkursu KAROLE '98 miał miejsce w reprezentacyjnej sali Dworu Artusa w Gdańsku dnia 28 maja 1998 roku. Obecni byli przedstawiciele środowisk: studenckiego, naukowego i gospodarczego regionu gdańskiego oraz media. Patronat honorowy nad Konkursem objęli: Marszałek Sejmu RP Maciej Płażyński, Prezydent Pomorskiej Izby Przemysłowo-Handlowej dr inż. Zbigniew Canowiecki, Senator Ziemi Gdańskiej prof. Edmund Wittbrodt oraz



Anna Krupa i Leszek Kurnicki - laureaci KAROLI '98 w kategorii "Plan marketingowy"

Rektor Politechniki Gdańskiej prof. dr hab. inż. Aleksander Kołodziejczyk. Organizatorzy Konkursu nawiązali współpracę z ponad 30 firmami i instytucjami, które finansowo, organizacyjnie i merytorycznie wsparły ideę KAROLI.

Perspektywy i plany

Organizatorem poprzednich edycji Konkursu była za każdym razem inna grupa studentów, co niestety nie sprzyjało rozwojowi przedsięwzięcia. Przy organizacji tegorocznej edycji Konkursu zostało zawiązane Biuro Organizacyjne, które powinno mieć trwały charakter. W jego skład weszli następujący studenci: Krzysztof Antos, Iwona Brzeska, Jolanta Byszuk, Lucyna Jeka, Ewa Konieczka, Radomir Matczak, Iwona Miller, Róża Nadolska, Monika Skibska, Małgorzata Wosik, Krzysztof Wróbel. Opiekunem Biura Organizacyjnego ze strony Wydziału Zarządzania i Ekonomii jest dr inż. Marek Wirkus.

Biuro Organizacyjne podjęło działania na rzecz rozwoju Konkursu KAROLI. Sformułowana została misja przedsięwzięcia pod nazwą Projekt KAROLE. Treść tej misji brzmi następująco: **poszukiwanie, tworzenie i wykorzystywanie możliwości pogłębiania wzajemnych związków i kontaktów pomiędzy społecznością akademicką a środowiskiem gospodarczym**.

Cele, jakie postawiło przed sobą Biuro Organizacyjne, to:
- tworzenie klimatu sprzyjającego rozwojowi twórczości, pomysłowości i zasad "dobrej pracy" wśród studentów,
- przedstawienie przedsiębiorcom korzyści wynikających z aktywnej współpracy ze środowiskiem akademickim,
- konfrontowanie najnowszych osiągnięć nauki w dziedzinie organizacji i zarządzania z praktyką gospodarczą,
- promocja Wydziału i Uczelni, a przede wszystkim jej studentów.

Sposoby realizacji tych celów powinny być wypracowane w najbliższym okresie w wyniku dyskusji wśród studentów i pracowników naukowych Wydziału oraz przedstawicieli firm i środowisk gospodarczych. Istniejące plany rozwojowe Projektu KAROLE dotyczą głównie:
- poszerzenia Konkursu KAROLE o nowe kategorie,
- pomocy studentom w kontaktach z przedsiębiorstwami w celu realizacji prac projektowych, powinno być to realizowane przy współpracy Pomorskiej Izby Przemysłowo-Handlowej w Gdańsku,
- zintegrowania środowiska absolwentów Wydziału Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej,
- przygotowywania seminariów, warsztatów, szkoleń i paneli dyskusyjnych dla studentów Wydziału.

Podsumowanie

Bardzo często współpraca na linii firma-student przynosi wymierne efekty obu stronom. Firma uzyskuje możliwość spojrzenia na swoją sytuację z zupełnie innej perspektywy, możliwość uporania się z niektórymi problemami organizacyjnymi, technicznymi, marketingowymi, możliwość wdrożenia interesujących projektów przedsięwzięć. Student z kolei ma możliwość wykorzystania zdobywanej wiedzy teoretycznej, wzbogacania jej o bardzo cenne doświadczenia i kształcenia w sobie cech predestynujących go do pełnienia w przyszłości odpowiedzialnych i satysfakcjonujących go stanowisk.

Jestem przekonany, że reaktywowanie i ewolucja Konkursu KAROLE oraz realizacja celów Projektu KAROLE będą sprzyjać szybszemu rozwojowi naszego Wydziału, naszej Uczelni, jak i naszego regionu. Jest duża szansa na zrobienie czegoś pożytecznego wspólnymi siłami studentów, naukowców i przedsiębiorców. Trzeba dołożyć wszelkich starań, aby ta szansa przerodziła się w źródło wspólnych sukcesów tych ludzi.

Zaproszenie do współpracy

Z całą mocą, w imieniu swoim i Biura Organizacyjnego, zachęcam wszystkich zainteresowanych do podjęcia współpracy z nami przy realizacji Projektu KAROLE, który z całą pewnością zasługuje na miano cennej studenckiej inicjatywy.

Nasz adres:
Biuro Organizacyjne Projektu KAROLE
Wydział Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej
ul. G. Narutowicza 11/12; 80-952 Gdansk
tel. (058) 347 15 24; fax (058) 347 14 28
www.zie.pg.gda.pl/karole98
karole98@zie.pg.gda.pl

Radomir Matczak
Student Wydziału Zarządzania i Ekonomii



Nominowani do KAROLI '98 w kategorii "Procesy innowacyjne"

Reforma powiatowa w makroregionie nadmorskim

Zanim pomyślano o reformie administracji publicznej w Polsce, dokonano przy udziale społeczności lokalnej przełomu w ustroju politycznym Polski w wyborach w 1989 r. Po 1989 r. jedynie ustrój gmin i reguły ich działania ukształtowane zostały na nowych zasadach.

Mówi się, że administracja jest fundamentem każdego państwa. W realiach politycznych Polski oznacza to, że nowy ustrój państwowy zaczęto budować od "dymu z komina", a teraz myśli się o fundamentach

Rozdwojenie jaźni

Administracja centralna została przekształcona w 1997 r. wg koncepcji wypracowanej przez zespoły pod rządami ministra Pola. Czym się kierowano, krojąc ten nowy garnitur centrali, Bóg raczy wiedzieć. Nadal centrum i szczebel wojewódzki prowadzą taki zakres spraw, jaki odziedziczono po okresie sprzed 1989 r., kiedy **administracja ta służyła innemu państwu, innej filozofii prawa, innym celom politycznym, innemu systemowi zarządzania gospodarczego.**

Poza personalnymi zmianami na stanowiskach dotyczącymi eliminacji reprezentantów jednej opcji politycznej i zastąpienia ich reprezentantami odmiennej opcji politycznej - i to zarówno na szczycie, jak i na podrzędnych stanowiskach w aparacie administracji państwowej - nic nie drgnęło.

Zmiany nazw ministerstw, wydziałów w Urzędach Wojewódzkich, jednostek administracji specjalnej, korekta liczebności zatrudnienia, czy też podjęcie zmian legislacyjnych odnośnie do np. sposobu dysponowania mieniem Skarbu Państwa lub środkami publicznymi - nie stanowią o reformie administracyjnej państwa i dostosowaniu jej do nowego ustroju.

Zanim pomyślimy, co jest potrzebne w nowym ustroju państwa mieszkańcom rejonów nadmorskich, trzeba uporać się z generalnym uzasadnieniem reformy. Jeśli bowiem dokonaliśmy przełomu w ustroju politycznym Polski w wyborach w 1989 r. to ze skutkiem dla wszystkich regionów kraju. Jeśli administracja nie została powszechnie dostosowana do nowych uwarunkowań, to skutki są powszechne. Ustrój oparty na zasadach wolnorynkowych i demokratycznych wciśnięty został w gorset starych ustaw i struktur władz administracyjnych. To powoduje, że mimo inicjatywy z lipca 1989 r. przywracającej ustrój samorządowy w gminach, ustrój państwa podlega centralnej dominacji.

Opóźnianie przebudowy administracji ma swe uzasadnienie w umacnianiu pozycji sił politycznych hamujących przekształcanie poprzedniego ustroju w nowy.

Struktury społeczne, które weszły zubożałe w proces transformacji ustrojowej jako pozbawione państwa opiekuńczego wykształconego w systemie centralnego rozdzielnictwa dóbr, w nowym systemie wymagają fazy dostosowania do nowych warunków, zanim staną się aktywne. Ich aktywność jest niezbędna obecnej opozycji dla osiągnięcia pozycji przewidzianych do obsadzenia w samorządowych powiatach i województwach.

To bowiem nie te zubożałe struktury społeczne dokonały przełomu w ustroju politycznym Polski w 1989 r. To nie w ich ręce oddano stery przełomowych zmian. Obecnie obawiać się można, czy w tych sferach nie wytworzył się sprzeciw wobec istniejących reguł transformacji ustrojowej i nie zaowocował on wyborem poprzednio rządzącej koalicji. Czy w wyborach do szczebla gminnego i powiatowego w 1998 r. można się spodziewać nowej aktywności tych sfer społecznych? Koalicja zmierzająca do kontynuowania reformy administracji publicznej zapoczątkowanej w 1993 r. liczy, że to nie nastąpi. Opowiadanie się SLD za tymi reformami może uśpić siły wyborcze, wywodzące się z grup proletariatu pozbawionego osłony socjalnej, lub co najmniej spowodować ich zakłopotanie. PSL uaktywnia swój elektorat przeciw reformom, co nie stanowi zasadniczej przeszkody. Kto zatem może skorzystać na szybkim podjęciu zmian? Wyłącznie siły, które faktycznie dokonały przełomu ustrojowego i czerpią z tego korzyści wraz z establishmentem. Tylko ta siła sprawcza może wyprowadzić państwo ze stanu zbliżonego do rozdwojenia jaźni.

W demokratycznym ustroju rezultaty wyborów mają decydujący wpływ na udział w kształtowaniu kierunków zmian. Aktywne są grupy świadome tych zmian, posiadające świadomość dokonywanego przełomu.

Adresat reform

Mamy zatem państwo z rozdwojeniem jaźni. Czy w tym stanie można skutecznie formułować prawo dostosowane do modelu demokratycznych państw europejskich? Czy utrzymywanie dłużej niż 10 lat ewenementu w postaci np. ustawy kompetencyjnej (stanowiącej m.in. dowód tego rozdwojenia jaźni) można tolerować we Wspólnocie Europejskiej? To są podstawowe pytania, które wymienia się jednym tchem w związku z czynnikami zewnętrznymi.

Jednak istota tkwi wewnątrz systemu. Głównym adresatem reform administracyjnych, odbiorcą i beneficjentem realnych i pozytywnych zmian w życiu publicznym, które będą rezultatem tych reform, jest **zawsze obywatel.**

Tylko przy takim założeniu, reformy mają ważki sens polityczny i praktyczną wartość społeczną. Praktycznym celem reform jest bowiem z jednej strony zwiększenie obywatelskiego wpływu na życie publiczne, w tym - na sposób gospodarowania groszem publicznym, zwiększenie bezpieczeństwa zbiorowego i jednostki, usprawnienie obsługi administracyjnej i pracy urzędów administracyjnych, a także służb i instytucji świadczących usługi publiczne, z drugiej zaś - wzmocnienie państwa, uporządkowanie i decentralizacja administracji, racjonalizacja wydatków publicznych. Wszystkie te kierunki prac reformatorskich dotyczą bezpośrednio obywatela, administracja bowiem, to funkcja służebna wobec społeczeństwa. **Musi być wykonywana sprawnie, profesjonalnie i rzetelnie.**

Wybierając posłów i senatorów - nominujących potem wg własnej orientacji decydentów rządowych i wojewódzkich, przesądzających w sprawach obywateli również w środowisku lokalnym - skazujemy się na niesłuszną jednorodność ogólnokrajową. Przykłady braku racjonalnych skutków decyzji centralnych wymieniamy na co dzień:

- organizacja szkolnictwa ponadpodstawowego prowadzi do niezgodności z lokalnym interesem rynku pracy,
- brak jest lekarzy o specjalnościach dostosowanych do stanu schorzeń typowych na danym terenie,
- banki sterowane centralnie nie są nastawione na wzmocnienie miejscowego kapitału, lecz wtłaczają kapitał zewnętrzny, narzucający rozwiązania społecznościom lokalnym,
- bezrobocie nie jest dokuczliwe w Warszawie, lecz w oddaleniu od niej.

Z jakiej to racjonalnej przyczyny w demokratycznym społeczeństwie o kolejności wydawania środków na drogi (nawet na te, które są zaliczane do dróg krajowych) obsługujące rejon powiatu ma decydować urzędnik w Warszawie, skoro to nie

jemu one służą, ani jakiejś abstrakcyjnej funkcji nadrzędnej, ale przede wszystkim ludziom stąd? Czy to nie są pieniądze oddane do dyspozycji publicznej z tego właśnie terenu w znacznej części? Dlaczego: policja sanitarna, kultura, kultura fizyczna i turystyka, inspekcja handlowa, ochrona środowiska, nadzór budowlany, administracja rolna, straż pożarna, ochrona zdrowia muszą mieć "ministerstwa" w Warszawie? One będą zbędne, jeśli utworzymy skuteczne w działaniu "ministerstwa" w powiatach. Te powiatowe "ministerstwa" wyposażone w środki publiczne lepiej potrafią dostrzegać lokalne potrzeby, niż centralnie i jednolicie widzące "wszystkowiedzące" władze z Warszawy. Po prostu dlatego, że będą bliżej tych spraw.

Doświadczenia z regionu nadmorskiego

Lokalne środowiska stają się silniejsze siłą swych aktywnych grup interesu. Utrzymywanie spraw lokalnych w ręku scentralizowanego państwa osłabia tę aktywność, a tym samym osłabia rozwój lokalny. Reforma administracji zmierzać winna zatem do wyeliminowania barier tego rozwoju. Stare siły będą zmuszone przegrupować szyki i znaleźć motywację do działań skutecznych po wyzbyciu się chęci rozstrzygania centralnie rozwiązań "jedynie słusznych".

Jakie szczególne okoliczności zaistnieją w związku z reformą powiatową w regionie nadmorskim?

Z mapy propozycji - od których zaczyna się ostatnio proces kontynuacji reform zapoczątkowanych w 1993 r. - wynika, że w regionie nadmorskim będą funkcjonowały 3-4 województwa (szczecińskie, koszalińskie, gdańskie i olsztyńskie) oraz być może 16 powiatów (Świnoujście, Kamień Pomorski, Gryfice, Kołobrzeg, Koszalin, Sławno, Słupsk, Lębork, Wejherowo, Puck, Gdynia, Sopot, Gdańsk, Nowy Dwór Gdański, Elbląg, Braniewo). Nie tylko do takich zmian sprowadza się proces reformatorski. Przede wszystkim do tych miast trafią decyzje, które dziś podejmuje się w Warszawie lub mieście wojewódzkim w sprawach nie należących obecnie do kompetencji gmin.

Wydaje się, że lista zdecentralizowanych spraw jest obecnie trudna do przesądzenia, gdyż lobby rządowe i wojewódzkie podczas prowadzenia programu pilotażowego w latach 1993-1994 ujawniło silnie wykształcony instynkt samozachowawczy, skłaniający obecnych włodarzy do obrony przed skutkami ograniczenia lub całkowitego samounicestwienia. Jednocześnie świadomość trudności hamujących rozwój lokalny, tkwiąca np. wśród rybaków, mniejszości narodowych, organizacji turystycznych, młodzieży, lekarzy, prawników, menedżerów od kultury i sportu, wywołać może uzasadnione postulaty rozszerzenia obszaru decentralizacji w stosunku do proponowanej przez rząd.

Część z wymienionych wyżej miejscowości dotknęła w skutkach tzw. ustawa o wielkich miastach (ustawa z dnia 24 listopada 1995 r. o zmianie zakresu działania niektórych miast oraz miejskich usług publicznych - Dz.U. nr 141, poz. 692, została poważnie zmieniona 5 grudnia 1996 r. - Dz. U. nr 156, poz. 773). Odnosi się ona w makroregionie nadmorskim do 6 miast. W rezultacie ostatecznym ustawa ta została potraktowana jako karykatura programu pilotażowego reformy powiatowej z 1993 r. Jakie są wnioski z doświadczeń miast objętych tą ustawą w obszarze nadmorskim? Przede wszystkim:

1) państwo nie wywiązuje się z obietnic i zapisów zawartych w zobowiązaniach finansowych,
2) utrzymuje się dualizm władzy szczebla wyższego i szczebla powiatowego w odniesieniu do wielu problemów i spraw zdecentralizowanych, co spowodowane jest brakiem porządku prawnego zrywającego z dotychczasowymi przepisami niedostosowanymi do aktualnego ustroju państwa,
3) wobec wieloletnich ograniczeń finansowych eskalacja żądań nie pozwala władzom lokalnym na sprostanie uzasadnionym oczekiwaniom i powstaje tendencja do zmian legislacyjnych, organizacyjnych i in., przenoszących odpowiedzialność,
4) obsługa - nowych dla powiatów - zadań nie jest wykonywana sprawnie, profesjonalnie i rzetelnie z braku kadr przygotowanych do kierowania w sytuacji zmiany; pogłębia się proces patologicznych zachowań.

Może ten bilans jest krzywdzący w pewnych jednostkowych sytuacjach, gdzie w wyniku słusznie przyjętej polityki lokalnej nastąpił renesans w obsłudze obywateli. Ten niekorzystny bilans w skali ogólnej nie stanowi argumentu przeciw wdrożeniu opóźnionych reform. Należy jednak w związku z nabytym doświadczeniem wkalkulować w swe działania lokalne dodatkowe okoliczności, niezbędne do sprostania nowym wyzwaniom, dla dobra obywateli i państwa.

Optymistyczna perspektywa

Skoro rozpoczęliśmy budowanie nowego ustroju państwowego w 1989 r. od "dymu z komina" i obecnie troszczymy się o fundamenty dla wznoszonej konstrukcji, to niech one staną się bardziej trwałe, aby wznoszony gmach nie chwiał się w posadach przy byle podmuchu wiatru historii.

Te fundamenty wymagają przygotowania kadr. To dlatego m.in. nie można scedować niektórych nowych zadań w ramach decentralizacji państwa na szczebel gminy, jak tego oczekuje m.in. PSL, gdyż kadry w gminach ziemskich dotąd mają trudności, aby sprostać wyzwaniom rzeczywistości. Dotąd nigdy nie przyszło im kierować - i to w skali gminy - takim skomplikowanym organizmem gospodarczym. Analiza dotychczasowych poczynań wskazuje na konieczność osiągnięcia wyższego poziomu kwalifikacji Szczebel powiatowy wprawdzie nie będzie dublował zadań gmin, ale przy podejmowaniu problemów przejętych ze szczebla państwowego winien gwarantować sprawniejszą obsługę obywateli.

Początkowy etap reformy samorządowej nie wróży nic optymistycznego. Wprawdzie wielkie są zasługi Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej w krzewieniu wiedzy wśród kadr samorządowych (m.in. program szkolenia kadr samorządowych "Nasza Szansa" i pomaturalne szkoły), ale jest też wiele przeszkód. Pierwsza tkwi w samych samorządowcach, którzy nie do końca mogą być oceniani jako działający w zgodności z oczekiwaniami wyborców i wymaganiami stawianymi profesjonalnie przygotowanemu gospodarzowi. Druga wynika z odkładania edukacji na dalszy plan, tj. po uporaniu się z bieżącymi nagłymi potrzebami, co daje skutek w postaci nieumiejętności uporania się z nimi. Trzecia wynika z obaw, że lepiej przygotowana kadra stanowi potencjalne zagrożenie dla niechętnych zdobywaniu wiedzy - obecnie decydujących o wyborze kierunków działania.

W makroregionie nadmorskim szkoły poważnie liczące się w przedmiocie przygotowania kadr samorządowych można wymienić na palcach jednej ręki, gdyż w grze interesów nie dostrzeżono racjonalniejszych rozstrzygnięć w tej mierze. Nic dziwnego zatem, że w polskich wyższych uczelniach państwowych można spotkać kadrę dydaktyczną, która nie do końca rozróżnia administrację państwową od samorządowej, nie mówiąc o specyficznej funkcji urzędów rejonowych. I nie są to przypadki odosobnione. Kadra dydaktyczna dla samorządów tworzy się z trudnościami piętrzonymi przez ludzi nauki obawiających się konkurencji.

Jeśli reformujemy administrację publiczną, nie sposób nie reformować jej otoczenia. Inaczej powstanie rezultat stanowiący zaprzeczenie intencji.

Trzeba sprawę potraktować w kalkulacji kosztów reformy tak szeroko, jak tego wymaga faktyczna potrzeba. Ukrywanie niezbędnych nakładów na przeprowadzenie reformy i sprowadzenie ich do zakupu biurek, zgromadzenia funduszu płac, remontów obiektów publicznych itp., to podcinanie gałęzi, na której się siedzi. Gdyby te koszty były faktycznie dwu- a nawet trzykrotnie większe z racji utworzenia kilku ośrodków szkolenia, zwiększenia nakładów na oprzyrządowanie stanowisk pracy, pogłębienie prac analitycznych i badawczych oraz dodatkowe koszty podjęcia opracowania zmian legislacyjnych z inicjatywy gmin i powiatów, to i tak się reforma broni z racji:

- uniknięcia błędów w polityce gospodarczej państwa scentralizowanego, kosztujących wiele z powodu nieracjonalnego bezrobocia i zahamowania rozwoju lokalnego,
- doprowadzenia do wydłużenia życia - zdrowszego, bo lepiej obsłużonego, społeczeństwa,
- zaktywizowania - dotąd apatycznie oczekujących na polecenia - grup społecznych dostrzegających wreszcie realną szansę swego posłannictwa życiowego,
- dostosowania warunków do procesów integrujących region nadmorski z technologicznie zaawansowanymi krajami europejskimi i sukcesywne odrabianie zaistniałego dystansu.

Tego rachunku dziwnie dotąd nikt nie wykonał i nie pokazał. Tym bardziej trzeba bronić spójności granic regionu nadmorskiego wzdłuż polskiego wybrzeża wobec zakusów wbicia klina między Szczecinem a Gdańskiem, na zasadzie: dziel i rządź z Warszawy.

W każdym razie każdy głos za kontynuacją reform administracji publicznej jest głosem rozsądku, nawet gdy musimy go korygować, a każdy z drugiej strony jest li tylko przeżytkiem minionej epoki.

Ryszard Burchard
Aministracja Centralna Politechniki Gdańskiej

KREŚLARNIANE OPOWIEŚCI (2)

Opowieść Ryśki (patrz PISMO PG nr 5/98, str. 14-15) zadziałała jak dobry katalizator. Cofnąłem się myślą do tych gorących lat 1944-45, i nagle pamięć zaczęła odtwarzać moją wielką przygodę, gdy "do smierti było czytery szaga... " jak to mówiła rosyjska, frontowa piosenka. A może bywało i bliżej. O to zresztą nie mogłem mieć do nikogo pretensji. Wszak miast dekować się w "królowej broni", intendenturze, sam wybłagałem przydział do kompanii szturmowej. A dobrze mi tak! Tę opowieść bym nazwał:

NAJDŁUŻSZY DZIEŃ W MOIM ŻYCIU

A działo się to pod Wilnem w lipcu 1944 r. 3 czerwca ruszyła wielka ofensywa sowiecka od linii Dniepru i Berezyny, front zbliżał się wielkimi krokami. Dowództwo Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego ogłosiło Akcję BURZA - mobilizację wszystkich sił do uderzenia na cofających się Niemców, by po opanowaniu kluczowych punktów, jako gospodarze tych ziem, powitać wojska radzieckie. Na naszym terenie akcja ta miała kryptonim: OPERACJA OSTRA BRAMA.

O tym wszystkim dowiedziałem się dużo później, wówczas byłem żołnierzem Kompanii Szturmowej III Wileńskiej Brygady, dowodzonej przez Szczerbca. Dzień 6 lipca zastał nas na postoju w obszernej stodole, gdzie do wieczora wypoczywaliśmy po ubiegłonocnej akcji. Część chłopaków oddawała się leniwie różnym żołnierskim zajęciom: tępili wszy, czyścili broń, przeglądali i uzupełniali amunicję. Nagle koło mnie pada strzał. Zrywamy się, chwytamy za broń. Okazało się jednak, że alarm był fałszywy - ktoś tak mocno uderzył w spłonkę, że nabój wypalił. Szczęśliwie skończyło się na śmiechu. Nie wiedziałem jeszcze, że ten strzał zaczyna mój najdłuższy dzień, a raczej najdłuższą dobę.

Przygotowujemy się do kolacji, aż tu nagle alarm - za 5 minut wymarsz. Zapewne ktoś z dowództwa zna stare przysłowie myśliwskie: "nie czas psy karmić, gdy idziesz na łowy." Zaraz ruszamy szybkim marszem, bierzemy tylko broń i amunicję. A więc będzie jakaś akcja.

Ruszyliśmy jak zwykle szykiem ubezpieczonym ze szperaczami na czele i po bokach. Dalej idzie nasza kompania pod dowództwem Burego, za nami reszta Brygady. Powoli nadchodzi zmrok, zapadamy w niewielkim lasku, za którym jest szosa, którą mamy przeskoczyć, gdy się zrobi ciemno. To nie jest takie proste. Ciągną tam jednostki wojskowe i wielotysięczne rzesze ludności cywilnej, słusznie obawiające się sowieckich lagrów.

Podciągamy pod sama szosę. Szperacze ruszyli w prawo i w lewo; mają dać znać białą rakietą, gdy będą najllepsze warunki przekroczenia szosy, w razie potrzeby zablokować ją ogniem kaemów.

Pada komenda: bagnet na broń. Zapinamy mocniej hełmy. Jest rakieta, rzucamy kilka granatów i z okrzykiem "hurra"' wyskakujemy na szosę, szerokim na jakieś 20 m pasem. Jest ciemno, widzę zarys ciężarówek, furmanek, padają pierwsze strzały. Przede mną wyskakuje ktoś z szoferki i ucieka na pobocze. Odległość kilkunastu metrów. Celuję po lufie. Naciskam spust - tylko suchy trzask. To cholerny niewypał! Ze złości i żalu leją się mi łzy. Repetuję broń, ale uciekinier ginie mi w ciemności.

Dużo później doszedłem do wniosku, że to Anioł Stróż wprowadził mi do lufy niewypał. Czy to był Anioł Stróż kierowcy? A może to był mój, który ustrzegł mnie przed wyrzucaniem sobie zabicia uciekającego człowieka strzałem w plecy? Ale teraz nie było czasu na takie rozważania.

Już jesteśmy po drugiej stronie, w ciemnym i przyjaznym lesie, przeszła już reszta Brygady. Czerwona rakieta ściąga naszych szperaczy. Udało się bez strat. A z tyłu, za nami, przysłowiowe "piekło i szatani". Naprzeciw siebie, z dwóch stron, gęsta salwa broni maszynowej i coraz to nowe rakiety. Bardzo to nam się podoba.

Idziemy na Nową Wilejkę, przechodzimy przez uśpione wioski; ujadające psy, widząc większy oddział, przezornie milkną i gdzieś się zaszywają. Brzask zastaje nas na wzgórzu przed Kolonią Kolejową. Zatrzymujemy się, chwila odpoczynku i krótka odprawa. Ma się zrealizować nasze marzenie: idziemy w bój o WILNO, TO NAJPIĘKNIEJSZE NASZE MIASTO!

Pierwsze zadanie, to przekroczyć linię kolejową, przejść Wilenkę i od strony Belmontu atakować bunkry niemieckie, by oczyścić drogę do miasta. Belmont, to pagórkowaty teren położony na wschodnim krańcu Wilna.

Drżę cały z emocji, zmoczony do pasa obfitą rosą na wysokich trawach i zmęczony intensywnym marszem. Nagle to wszystko przechodzi, towarzyszące często uczucie strachu znika. Poruszam się jakby lżej i sprężyściej. Napięta uwaga rejestruje wszystko znacznie ostrzej, czas ma inny wymiar. Staję się przesadnie spokojny. Świadomość tego, co mnie czeka, trzymana w ręku broń, przynależność do naszej wspólnoty powodują ten stan. Mam takie odczucie, jakbym stał obok i siebie obserwował, jakbym oglądał to na filmie. I to odczucie będzie mi cały czas, wręcz obsesyjnie, towarzyszyło.

Przed nami położona w dolinie Wilejki Kolonia Kolejowa. Już nas dostrzeżono, z przeciwnego zbocza doliny rozpoczyna się silny ogień broni maszynowej. Na lekko rozjaśnionym niebie widać Jutrzenkę i paciorki pocisków świetlnych lecących w naszym kierunku. Jeden z naszyck erkaemów puszcza serię, paciorki się krzyżują, nasze idą do źródła ognia i za chwilę już jest spokój. Ta ładna iluminacja rozpoczyna ten gorący dzień.


Autor w partyzantce (1944 r)

Biegniemy w dół poprzez podwórza, ogródki i płoty. Już przechodzimy tory, gdy wybucha ostry ogień broni maszynowej To do Kolonii wjeżdża uzbrojony pociąg i pruje do nas jak do kaczek w wodzie Jesteśmy w polu ostrzału, niskie po pas żyto nas nie chroni. Padają koło mnie pierwsi zabici. By wyrwać się jak najszybciej z pola ostrzału, robię chyba życiowy rekord w biegu na sto metrów. Szczęśliwie teren schodzi w dół, już jesteśmy zasłonięci grzbietem wzniesienia, pod nami płynie Wilenka. Ta rzeczka, o tej porze roku daje się przejść w bród, wody poniżej kolan. Wiosną, to oszalała górska rzeka zmywająca domy. Przebiegamy ją położoną wąską kładką i dostajemy silny ogień od czoła To strzela broń maszynowa z przedpola bunkrów i obudziły się dotąd ciche umocnienia. Dowódca kompanii. Bury, rozwija tyralierę, moja drużyna jest na lewym skrzydle, biegnę tam po odkrytym terenie, cały czas pod ostrzałem Już padamy na ziemię, celowniczy puszcza kilka serii, a mnie się wydaje, że serce mi wyskoczy, i dudnienie w uszach zagłusza huk wystrzałów. Przez chwilę myślę, że już skonam i nie będę musiał dalej się męczyć. Trwa to chwilę, już podrywamy się do skoku, przed nam rzadki lasek. Niemcy nie wytrzymują i cofają się do bunkrów. W opuszczonym okopie leży trup Niemca, chwytam jego granat i chlebak, może tam jest amunicja. Prujmy dalej naprzód, na usytuowane na szczycie wzgórza bunkry. Ogień przeciwnika gęstnieje, nie można sforsować odkrytego odcinka zbocza, piasek dosłownie gotuje się od kładzionego tam ognia zaporowego. Próbujemy je obejść, niestety, Niemcy mieli dosyć czasu, by zapewnić sobie dobre pole ostrzału i cekaemy są tam dobrze wstrzelane. Ci, którzy próbowali się przerwać, natychmiast padli. Przypadamy do zbocza, starając się wtulić w mchy i przyjazny dywan borówek i czarnych jagód.

Natarcie nasze utknęło, nie możemy iść do przodu, a Niemcy zaczynają nas macać granatnikami. Zbocze przestało być już osłoną, bo lecące łukiem pociski skutecznie nas rażą. Odruchowo wtulam się jeszcze głębiej w miękkie, poszycie i spod hełmu widzę jakby akcję filmu w zwolnionym tempie. Gwizd padającego granatu, wytrysk pióropusza ziemi, świst odłamków. Czasem leci w górę coś czerwonego - to krew i strzępy ludzkie

Nie można przewidzieć, gdzie spadnie następny granat. Gdy chcę podnieść głowę, to nad hełmem lecą serie z cekaemu. Widzę coś czerwonego przed oczami, cofam nieco głowę. To olbrzymie, wspaniałe dwie ciemnoczerwone poziomki

Są na wysokości moich ust, smakują rozkosznie - koncentrat słodyczy i słońca. Jesteśmy na terenie niedostępnym dla okolicznej ludności, stąd jagód jest w bród. Ostrożnie czołgam się do następnej kępy. Tak wspaniałych jagód nie jadłem nigdy. Do końca życia będę pamiętał ten cudowny smak, w tej "nieco" niecodziennej scenerii. A tu krąży nad nami zwiadowczy samolot Fieseler-Storch, podaje nasze pozycje i skorygowany ogień granatników staje się coraz bardziej celny. Nie zważając na to, odpełzam do następnej czerwieniejącej kępy, ale spotyka mnie przykre rozczarowanie: to nie poziomki, ale krople krwi i mózgu. Rozglądam się, opodal siedzi oparty o drzewo żołnierz, tyle że bez głowy. Skończyło się jedzenie poziomek!

Za grubszą sosenką znalazłem wgłębienie gruntu, w którym się wygodnie kokoszę Dopiero teraz mam czas zajrzeć do zdobycznego chlebaka. Przypięta jest do niego manierka w sukiennym pokrowcu z czarnym ebonitowym kubkiem. Coś tam mile bulgoce. Wącham i smakuję - czerwone wino. Odzywają się pragnienie i głód. Wino smakuje doskonale, wypijam tylko trochę. Niestety, nie ma tam jedzenia

A granaty padają coraz to celniej; jeżeli tu zostaniemy, to wytłuką nas doszczętnie, a tu Bury się gdzieś zapodział. Na domiar złego atakują nas też samoloty szturmowe, Z tyłu za nami słychać coraz bliżej sowieckie salwy artyleryjskie i grzechot broni maszynowej. Padają już pociski z drugiej strony, a my jesteśmy na terenie ziemi niczyjej, pomiędzy dwoma wojskami Wreszcie pojawia się dowódca i każe nam przebijac się równolegle do bunkrów, próbować uderzyć w innym miejscu, ewentualnie dojść do nieodległej szosy wiodącej na Połock. Ruszyliśmy, będąc cały czas pod ostrzałem górujących nad okolicą bunkrów. Natknęliśmy się na naszych chłopaków z innej kompanii, która nawiązała kontakt ze zwiadem sowieckim, oswobadzając ich z okrążenia

Kilkakrotnie próbowaliśmy podejść pod bunkry, ale wszędzie witano nas ciężkim ogniem. Obserwujemy bunkry. Są to ciężkie bloki betonu z małymi strzelnicami, wtopione w wierzchołek wzgórza. Zapamiętałem szczególnie jedno piaszczyste zbocze pokryte rzadkimi mchami i porostami. Silny ogień spędził nas na zakryte od ognia podnóże. Ostatni chłopak nie zdążył. Obserwowaliśmy, jak w zwolnionym filmie, ściegi wyprysków piasku, robionych wokół niego przez pociski. Padł na ziemię i turlał się ku nam jak kloc drzewa, a pociski go goniły i obejmowały. Dotoczył się do zakrytego podnóża i - ku naszemu zdumieniu i radości - wolno wstał. Był nietknięty! Za pasem miał zatknięty granat niemiecki z drewnianym trzonkiem, ale wyglądał on jakoś dziwnie. Był przestrzelony i widać było obnażoną, aluminiową rurkę zapalnika. Kula przeszła dosłownie o kilka milimetrów od niej, odstrzelone były też dwa guziki munduru. Nigdy bym w coś takiego nie uwierzył, gdybym nie

był tego świadkiem. Widać było mu pisane, że śmierć dzisiaj przeszła koło niego, tylko się nieszkodliwie ocierając. Jutro będzie gorzej, gdy granat zmasakruje mu twarz. Był to Ali, spotkałem go po blisko pół wieku, i przyznał mi się, że nikomu o tym wydarzeniu nie opowiadał, nie chcąc być posądzonym o łgarstwo.

Próbujemy podejść bunkry z jeszcze innej strony, ale niestety fortyfikacje robili dobrzy specjaliści, a obrońcy mieli czas wstrzelać się w swój odcinek terenu. Nawet my, prości żołnierze, widzimy, że cała akcja jest źle przygotowana. Nas, leśne oddziały, wyposażone tylko w lekką broń, rzucono na system fortów przygotowanych do zatrzymania ofensywy radzieckiej. Do tego była potrzebna artyleria, broń pancerna i lotnictwo.

Ale nie wybiegajmy myślą naprzód. Prowadząc sporadyczne walki, dochodzimy do szosy prowadzącej na Połock. Przed nami zakręt, stąd już droga wiedzie prosto do miasta. Po drugiej stronie szosy, na samym zakręcie usytuowana jest duża pompa. Solidna, żeliwna obudowa, długa dźwignia - żelazna rączka ma na końcu jako przeciwwagę dużą kulę - to wszystko zaprasza do pompowania, A my jesteśmy zgrzani, spragnieni i głodni - wszak już kilkanaście godzin jesteśmy w akcji bez jedzenia i picia. Jeden z chłopców usiłuje przebiec szosę, ale spędzają go serie z cekaemów idące od bunkrów, pod których ostrzałem jest zakręt i sama pompa. Pod szosą jest szczęśliwie przepust z dużych kręgów betonowych. To świetny schron i punkt obserwacyjny. Nasze natarcie oczyściło przedpole z Niemców, są już bezpieczni w swych umocnieniach. Prowadzenie teraz natarcia byłoby czystym samobójstwem i nie miałoby najmniejszych szans powodzenia.

Od strony wschodniej narasta ogień broni maszynowej i artylerii, hałas się wzmaga i na szosie pojawiają się trzy czołgi sowieckie T34. Nasz dowódca, wraz z sowieckimi "*rozwietczykami*", zatrzymuje czołgi przed zakrętem, zasłonięte przez zbocze. Przyjazne przywitanie, krótka *zakurka*, czołgiści wyciągają mapy, oglądają i jak to zwykle pytają o drogę, tym razem do miasta. Mają za zadanie przebić się do śródmieścia i opanować pocztę. Z zaciekawieniem oglądamy czołgistów i ich maszyny. A dowódca tego zwiadu pancernego zwraca się do nas: "*Sojuźniki! Saditieś rebiata na tanki, budiem dielat piereryw.*" Nam tego dwa razy nie trzeba powtarzać, już jestem na pierwszym czołgu, znajduję dobry uchwyt za wieżyczką i jestem zachwycony perspektywą takiego wjazdu do Wilna. Czołgi są gęsto obsadzone naszymi chłopakami, silniki pracują na pełnych obrotach i już mamy ruszać. Aż tu nagle pojawia się Bury i woła: "Sp...... ć mi z tych czołgów. Zbiórka po drugiej stronie szosy!" Rozkaz to rozkaz, niechętnie złazimy. Każdy z nas z radością by go za to uśmiercił. Sam nie jedzie, to i nam sławy mołojeckiej pozazdrościł, skurwiel jeden! Już zapadamy na poboczu po drugiej stronie szosy. A na szosie pojawiają się sowieccy fizylierzy z automatami. Widzą pompę i nim zdążymy ich uprzedzić - leci już srebrzysta woda, a za chwilę robi się czerwono. Wstrzelany cekaem zbiera obfite żniwo. Dowódca fizylierów wydaje rozkaz i jego ludzie obsiadają czołgi, zakryte jeszcze bezpiecznie zboczem.

Huk motorów, czołgi ruszają, nabierają prędkości, wyłaniają się spoza zakrętu i prują do miasta, wprost na bunkry. A tam tylko na to czekają. Wybucha potworna strzelanina, strzelają działa czołgów, niemieckie działa przeciwpancerne, szczekają przeciwlotnicze, prują cekaemy i automaty, ryczą silniki na najwyższych obrotach. Po jakimś czasie, może to było pół godziny, a może 5 minut (straciłem zupełnie poczucie czasu) od bunkrów narasta huk motoru i wpada jeden czołg. Na jego kadłubie krwawa miazga, to jest to, co pozostało z fizylierów, a mogło zostać ze mnie. Pod bunkrami wyrastają dwa czarne słupy dymu, to płoną pozostałe dwa czołgi. Widzę, jak na mych zakasanych przedramionach, jak jeży się włos, jak wygląda gęsia skórka, i czuję jakieś dziwne mrowienie na plecach. I tak sobie pomyślałem, że rozkaz Burego, ściągający nas z czołgów, nie był jednak tak całkiem głupi.

Dostaję rozkaz znalezienia komendanta Brygady i złożenia mu raportu o naszej sytuacji. Ruszam przebytą tutaj drogą. Uzmysławiam sobie, że mam na sobie mundur zdarty z Litwina, nieco tylko jaśniejszy od niemieckiego, pas z klamrą "Gott mit uns". Niemiecki hełm ląduje natychmiast w krzakach. Tylko niewielki orzełek na niemieckiej czapce polowej stanowi polski element mego munduru. Na ramię zakładam biało-czerwoną opaskę, a czapka wędruje do chlebaka. Głupio byłoby być zastrzelonym przez "*sojuźnika*", a Rosjanie nie brali wówczas pojedynczych jeńców, by nie mieć z nimi kłopotu. Zawsze modliłem się do mego patrona, by nie zginąć głupio, i tym razem on pomógł. Napotykani bojcy jednak najpierw mnie pytali: "*Ty kto takoj?*", a nie przeprowadzali identyfikacji zwłok.

Uprzednio pusty teren był teraz nasycony sprzętem wojskowym. Każdą dróżką jadą olbrzymie studebakery, komandoski dodge, willysy. Wiozą amunicję, paliwo, ciągną działa. Żadnej kuchni, żadnego zaopatrzenia. Żołnierze, uzbrojeni w automaty na sznurkach, mają na plecach przywiązany sznurkami woreczek-sumkę z przyczepionym kociołkiem. Przysiadają, gdzie się da, już rozpalają małe ognisko i gotują swą kaszę z amerykańską świńską tuszonką.

Przechodzę koło poletka przedwcześnie zżółkłego zboża, w głębi stoi chata. Nagle gwizd i wycie. Rzucam się na ziemię. Potworny huk i widzę całe poletko zamienione, wraz z chałupą, w ognisty dywan. To eksplozja serii pocisków z katiuszy.

Z trudem znajduję komendanta i zdaję mu raport. Dostaję rozkaz powrotu do kompanii i ściągnięcia ich tutaj. Znowu ta sama droga, szczęśliwie bunkry mają teraz ważniejsze zajęcie. Docieram do Burego i przekazuję rozkaz. Jest nareszcie chwila odpoczynku, obserwuję z zainteresowaniem pracę czołgów pchających przed sobą walce służące do rozminowania szosy i poboczy. Właśnie zatrzymuje się taki czołg i podskakuje do niego "drucik" z bębnem przewodów na plecach, ma pretensję o zniszczone kable telefoniczne. Okłada kierowcę wielopiętrowym przekleństwem, czołgista nie zostaje dłużny. Użyta jest popularna terminologia anatomiczna, powiązania rodzinne po kądzieli, różne dewiacje seksualne i pada wiele propozycji. Grupa przechodzących żołnierzy zatrzymuje się i z wyraźnym uznaniem temu się przysłuchuje. Poznaję soczystość języka rosyjskiego "z pierwszej ręki".

Podrywa nas rozkaz wymarszu i znów przebywam tę samą drogę do naszego zgrupowania. Ma się już ku wieczorowi, nadal głodny i zmęczony układam się pod jakimś krzaczkiem i natychmiast zasypiam. Nagle przerażający gwizd, wycie i oślepiający błysk. To z drugiej strony krzaczka podjechała katiusza i odpaliła nad moją głową serię pocisków.

Tak to moja najdłuższa doba zaczęła się cichą eksplozją naboju karabinowego, a zakończyła się serią z katiuszy. Tak też i narastały moje emocje. Udało mi się na jawie przeżyć piękny sen walki o nasze DROGIE MIASTO, niestety, po śnie nastąpiło przykre obudzenie, ale - jak mawiał Kipling - to już zupełnie inna historia.

Kazimierz Iwanowski
Wydział Mechaniczny

Redakcja PISMA PG

Sprostowanie

W numerze 5 PISMA PG ukazały się wspomnienia pani Sabiny Gawlińskiej, zasłużonej dla działalności socjalnej naszej Uczelni. Zakradła się tam istotna nieścisłość. Otóż autorka pisze: "Ówczesny przewodniczący Związku, doc. Andrzej Niedzielski udał się z kompetentnym pracownikiem PG w plener kaszubski. Wybrali piękne miejsce nad jeziorem Wdzydzkim..."

Nie umniejszając późniejszych zasług doc. Niedzielskiego dla Związku, pragnę sprostować, że ówczesnym przewodniczącym był prof. Kazimierz Zygmunt, i on to właśnie był założycielem naszego Ośrodka. Wiem o tym dobrze, gdyż jednego letniego dnia zabrał mnie wraz z grupą kolegów do swego Fiata Multipli i pojechaliśmy na Wdzydze. Wówczas to podjął decyzję założenia tam Ośrodka. Mogę jeszcze dodać, że ze mną był też mój wyżeł Bekas, który ten teren symbolicznie objął w posiadanie, podlewając drzewka. Dzięki temu miał zapewniony zawsze wolny wstęp na teren Ośrodka, honorowany nawet przez tak rygorystycznego kierownika, jakim był pan Kazimierz Moczorat.

Kazimierz Iwanowski

Szanowna Redakcjo PISMA PG

Przeczytałem artykuły dotyczące 40 lat Parlamentaryzmu na Politechnice Gdańskiej (PISMO PG nr 2/98 "Moje exposé na 40-lecie Parlamentaryzmu na Politechnice Gdańskiej" napisane przez p. Romana Niewęgłowskiego, Przewodniczącego Samorządu Studentów Politechniki Gdańskiej i "40 lat Parlamentu" napisane przez p. Jacka Jetmara, absolwenta PG) z dużą ciekawością, bowiem wszystko co gdańskie nie jest mi obojętne. Artykuły te przeczytałem jednak z tak zwanymi "mieszanymi uczuciami". To dobrze, a nawet bardzo dobrze, że na PG istnieje zorganizowane życie studenckie. Nie jest natomiast prawdą i stanowczo nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że "40 lat temu, kiedy nikt nie mógł wzorować się na innych schematach organizacyjnych, kiedy tworzono wszystko od początku" oraz "jak bardzo dążyli oni do ujednolicenia akademickiego środowiska". To drugie stwierdzenie o niezbyt obecnie dobrej konotacji może prowadzić bowiem do sztucznej jedności, którą wymuszano przez wiele trudnych lat. Podobno "wszystkie drogi prowadzą do Rzymu", ale nie jest to jedna droga. Drogę może sobie każdy wybrać. Nie każdy lubi pracować "na komendę" - nieraz trzeba pomyśleć.

Wracając do sprawy braku wzorców, to należy przypomnieć, że życie studenckie istniało już w Polsce od około 1364 r., to jest od czasu powstania Uniwersytetu Kazimierzowskiego (Jagiellońskiego). Byli studenci - żakowie i też prowadzili swoje sprawy (wiemy, że mieli "zorganizowane" wyżywienie u mieszkańców Krakowa, były też otrzęsiny beanów itp.). W Gdańsku politechnika powstała w 1904 r., początkowo jako uczelnia niemiecka, na której jednak od początku studiowało paru Polaków. W niewiele lat po powstaniu politechniki zaczęło się organizowanie polskich studentów. Pełna organizacja życia studentów polskich na PG (wówczas TH) nastąpiła po 1921 r. Poprzez utworzenie "Bratniej Pomocy", której zarząd wybierany był na Walnym Zebraniu poprzez wybory bezpośrednie (to jest przez wszystkich członków "Bratniej Pomocy") realizował cele ustalone w statucie oraz przyjęte na Walnym Zebraniu. Najważniejszy cel "Bratniej Pomocy" mieścił się w jej nazwie. Udzielała stypendiów, pożyczek krótko i długoterminowych i różnej innej pomocy materialnej (bezpłatne mieszkania, bezpłatne obiady itp.). Samodzielnie administrowała otrzymanym od polskiego rządu domem akademickim, interweniowała u władz uczelni (niemieckich) w sprawach polskich studentów. Ułatwiała uzyskiwanie pomocy naukowych (kreślarnie, biblioteki itp.). Prowadziła akcje podtrzymywania polskości w zniemczonym Wolnym Mieście, co w okresie hitleryzmu nie było sprawą łatwą, a nawet bezpieczną. W ramach "Bratniej Pomocy" działały specjalistyczne koła naukowe, związek sportowy, związek morski, związki religijne, korporacje. Nad prawidłowością działania zarządu czuwała wybieralna Komisja Rewizyjna. Absolutorium po rocznym działaniu udzielało Zarządowi Walne Zebranie na wniosek Komisji Rewizyjnej. Spory międzystudenckie rozstrzygał wybieralny Sąd Koleżeński, a wyroków skrupulatnie przestrzegano.

Była to pełna demokracja i samorządność studencka. Wprawdzie nie było marszałków, premierów i ministrów, ale byli, tak jak w każdej ówczesnej organizacji, prezesi, sekretarze (ale nie partyjni), skarbnicy i referenci, i można się było nauczyć organizacji, poszanowania obowiązków oraz rozsądnej gospodarki, zwłaszcza finansowej.

Po wojnie "Bratnia Pomoc" została na Politechnice Gdańskiej reaktywowana jako ciągłość organizacyjna przedwojennej. Do działania przystąpili "starzy" przedwojenni działacze, działacze z czasów wojny i "najmłodsi" powojenni. Podstawa działalności, tak jak przed wojną, mieściła się w nazwie - "Bratnia Pomoc SPG".

Prezesem pierwszego Zarządu został wybrany w sierpniu 1945 r. kol. Stanisław Szymański - student przedwojenny; po paru miesiącach ustąpił (z powodu choroby). Na prezesa drugiego Zarządu w lutym 1946 r. wybrano kol. Sylwestra Ostrowskiego - studenta powojennego.

Na prezesa trzeciego Zarządu został wybrany kol. Maciej Fert - student przedwojenny. Zarząd "Bratniej Pomocy" składał się wtedy z Prezydium Zarządu (prezes, trzej v-prezesi, skarbnik, sekretarz) i jedenastu referentów. Te jedenaście referatów obejmowało całokształt życia i potrzeb studentów, i mogli oni z nich korzystać według własnej woli: Najważniejsze z referatów, to Referat Pracy - wyszukiwanie dodatkowego zatrudnienia dla studentów, organizowanie prac przy odgruzowywaniu politechniki. Referat Zdrowia - obsługa lekarska studentów (mieliśmy własnego lekarza), nadzór nad

higieną kuchni i stołówki. Referat Mieszkaniowy - "BP" posiadała osiem domów akademickich (przedwojenny budynek Bratniaka nie wrócił już do użytku studentów, mimo że był prawną własnością "BP", dziś są w nim dwie szkoły). Do Referatu należało przydzielanie mieszkań, remonty, dbanie o stan techniczny, higienę itp. Referat Aprowizacyjny - prowadzenie stołówki dla potrzeb studentów ("BP" posiadała stołówkę i dobrze wyposażoną kuchnię). Do wyposażenia stołówki należał też duży samochód ciężarowy i "Willis" (na mniejsze ładunki) do dostarczania prowiantów dla stołówki. Był też zatrudniony przez "Bratnią Pomoc" stały kierowca (jak i pracownicy "cywilni" sekretariatu). Samochody te zakupiliśmy z uzyskanych funduszy otrzymanych ze zbiórki ulicznej. Z pozostałych pieniędzy wybudowaliśmy garaż (istnieje do dziś). "Bratnia Pomoc" również "ubierała" studentów w mundury z demobilu, przekazywaliśmy też paczki z pomocy amerykańskiej (UNRRA) "Bratnia Pomoc" rozprowadzała kartki żywnościowe, przyznawała studentom zapomogi pieniężne, współuczestniczyła w odszukiwaniu zaginionych członków rodzin (studentów). "Bratnia Pomoc" organizowała i brała udział w odgruzowywaniu politechniki, częściowo spalonej w czasie działań wojennych (w tych pracach działały głównie Zarząd St. Szymańskiego i Zarząd Sylw. Ostrowskiego). Komisja Wydawnicza "BP" trudniła się przede wszystkim wydawaniem skryptów (głównie profesorów PG) dla studentów nie tylko Politechniki Gdańskiej (podręczników w księgarniach wtedy prawie nie było).

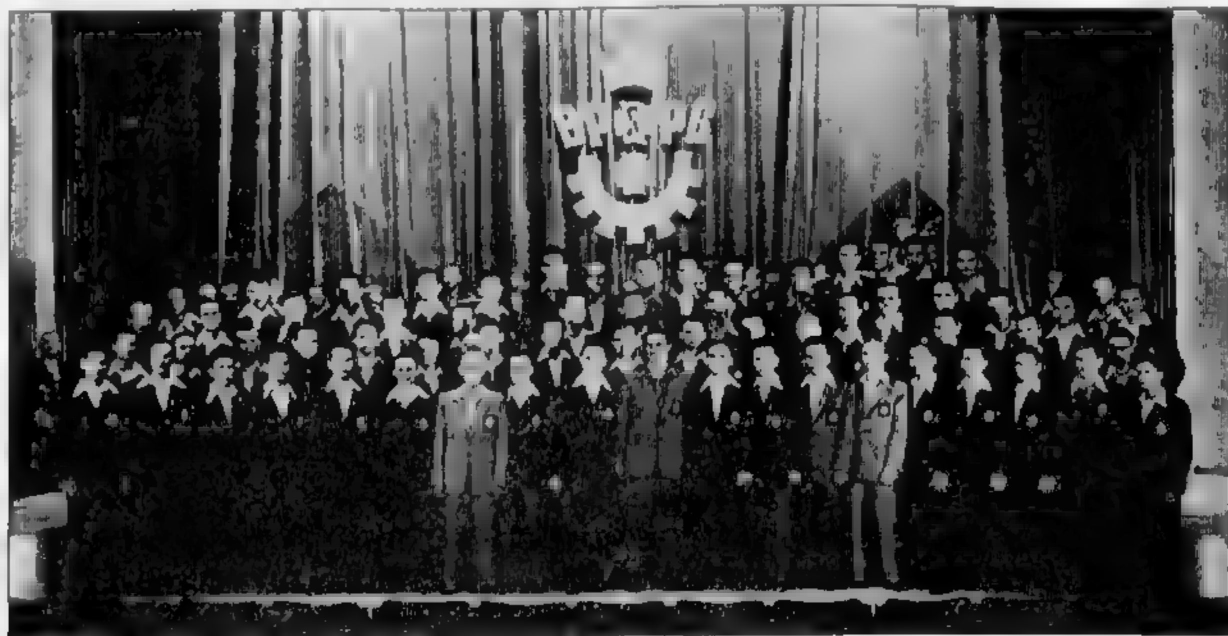
"Bratnia Pomoc" działała samodzielnie i niezależnie. Wprawdzie z ramienia Rektora był wyznaczany "kurator", jednak działał on raczej "honorowo", czasem doradczo. Nie przypominam sobie przypadku, aby zaprotestował w jakiejkolwiek sprawie.



Strona tytułowa "Jednodniówki", której liczba stron wynosiła 102 (Ze zbiorów Pracowni Historii PG)

Mój Zarząd (1947-48) podjął uchwałę o wydaniu książki, tzw. "Jednodniówki" z okazji 25-lecia Bratniaka, celem przypomnienia działalności naszych poprzedników z okresu międzywojennego, jak i powojennego. Osiągnięcia Bratniaka międzywojennego były niemałe, ale i jego osiągnięcia w działalności powojennej były bardzo duże, uwzględniając zwłaszcza ciężkie czasy we wszystkich dziedzinach, a wynikające z następstw wojny. Wydanie "Jednodniówki" zakończył dopiero Zarząd Jerzego Sadowskiego z powodu opóźnienia redagowania materiałów przez mój Zarząd. Po ukazaniu się "Jednodniówki" wybuchnął skandal, sztucznie rozdmuchiwany przez czynniki polityczne nie tylko wojewódzkie, ale i z Warszawy. Rozpętała się nagonka na współpracujących przy wydawaniu "Jednodniówki", zebrania studenckie żądające usunięcia z PG "winnych". Napastliwe wystąpienie rektora Szulkina w Audytorium Maximum pamiętam do dziś. W "Po Prostu" ukazał się artykuł redakcyjny szkalujący twórców "Jednodniówki" i żądający ich ukarania. W rezultacie usunięto z Politechniki Gdańskiej kilku studentów (m.in. kol. kol. Sadowskiego, Tuszyńskiego, Barę, Hasslingera), ale nie zabroniono im studiowania na innych politechnikach.

W końcu 1947 r. władze postanowiły przeprowadzić reorganizację samorządu studenckiego (szły "nowe czasy"). Uczyniły to władze wojewódzkie, a nie uczelniane. Prezydium zarządu Bratniaka dostało wezwanie do stawienia się u wojewody gdańskiego, a był nim inż. Zrałek, celem omówienia sprawy domów i stołówek aka-



Chór Studentów Politechniki Gdańskiej - rok 1948/49 Dyrygentem Chóru był Zbigniew Chwedczuk (Fot. J. Piszczatowski, zdjęcie ze zbiorów Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej)

demickich. Pan wojewoda zakomunikował nam, że domy akademickie i stołówki zostaną przekazane innej organizacji, której zadaniem będzie gospodarowanie tymi obiektami. Podstawowym argumentem p. wojewody było, że studenci powinni się uczyć, a nie czym innym zaprzątać sobie głowę i czas, samorząd zaś zastąpi "mądra" polityka władz. Prezydium mojego Zarządu twierdziło co innego - studenci powinni znać się na administracji, finansach, zarządzaniu, organizowaniu, a ewentualne popełnianie błędów pozwoli ich w przyszłości uniknąć. Wojewoda był w tej dyskusji sam, a nas było sześciu, niektórzy byli dobrymi mówcami. Do pana wojewody chodziliśmy paręnaście razy (ok. raz na tydzień). Argumenty przez cały czas były podobne do wyjściowych. Pan wojewoda, mimo że był człowiekiem kulturalnym i bardzo taktownym, zaczął tracić cierpliwość. Podobno raz czy dwa razy było już przygotowane UB, aby nas przymknąć i ewentualnie zmiękczyć. Jednak do tego nie doszło i pan wojewoda nie użył tego argumentu. Ostatecznie zawarliśmy ustną umowę "status quo ante", czyli: każdy zostaje przy swoim. Uzgodniliśmy, że do końca mojego Zarządu nic się nie zmieni, a po nowych wyborach wojewoda już da sobie radę z nowym Zarządem. Zmiany nastąpiły dopiero po kadencji czwartego Zarządu kol. Jerzego Sadowskiego (który za wydanie "Jednodniówki" był jednym z relegowanych).

Takie były dzieje samorządności i praworządności na PG, a parlamentaryzm nie zaczął się czterdzieści lat temu, tylko dużo, dużo wcześniej, a że nie nazywał się Parlament, tylko bardzo zwyczajnie "Bratnia Pomoc", to jednak nie w nazwie sprawa. My swojej praworządności i samorządności (i możliwości istnienia na PG w czasach Wolnego Miasta) musieliśmy bronić. Nie można więc napisać, że w przeszłości nie było żadnych wzorców, na których można było się opierać, zaś Politechnika Gdańska i organizacje studenckie nie powstały 50 lat temu, ale ponad 90. Polacy uczyli się na niej od samego początku (w latach 1937/39 stanowili około 25% studentów).

Po Zarządzie kol. Jerzego Sadowskiego nastąpiły inne czasy: czasy Zrzeszenia Studentów Polskich, ZMP, PZPR itp. I nie wiem, czy były one samorządne i praworządne. Mam wątpliwości.

Wracając do exposé (wg encyklopedii PWN jest to mowa sprawozdawcza, programowa premiera lub ministra) nie obejmuje ono konkretnego programu ani konkretnego sprawozdania z dokonań, a jedynie bardzo ogólne sformułowania, jak np. : stworzyć z PG jeszcze silniejszy niż obecnie ośrodek działalności studenckiej, hasło integracji i hasło "nic o nas bez nas". Hasła te wydają się słuszne, ale jak je wprowadzić i stosować? Ja z exposé nic konkretnego nie dowiedziałem się. Exposé pomija też ustosunkowanie się Parlamentu Studenckiego do wydarzeń, jakie w ciągu 40 lat zachodziły w Polsce, a przecież w Gdańsku tworzyła się Historia i to nie tylko Polski. Nie przypuszczam, aby studenci gdańscy byli przemianami niezainteresowani.

Maciej Fert
b. prezes "Bratniej Pomocy SPG" z lat 1947/48

STONEHENGE



Rys. 1. Widok ogólny (Fot. Z. Cywiński)

Ta intrygująca budowla (rys. 1 i rys. 2), w swoich początkach starsza od egipskich piramid, jest dziś jeszcze jednym, dobitnym dowodem na "irracjonalność" ludzkiej natury. Bo cóż było powodem przywleczenia, z bardzo daleka, ogromnych bloków kamiennych i, po obróbce, ustawienia ich w jakiś uporządkowany sposób? Czy była to potrzeba zaspokojenia głodu - podstawowego imperatywu świata zwierząt? Chyba - niezupełnie. Był to głód, o którym powiedziano później i gdzie indziej, że "nie samym chlebem żyje człowiek". Jak ma się ta dawna tęsknota istot ludzkich do współczesnego trendu eliminowania z życia ludzkiego **sacrum** na wyłączną rzecz "postępowego" **profanum** - ponieważ to pierwsze "się nie opłaca"? Czy w ten sposób dzisiaj ludzie stali się bardziej szczęśliwi? Praktyka dnia codziennego dowodzi, że tak nie jest. Może zatem warto spojrzeć w daleką przeszłość i, dostrzegając wartości działań ukierunkowanych na kształtowanie sfery duchowej człowieka, dokonywać harmonijnego równoważenia spraw ciała i ducha - z korzyścią dla właściwego rozwoju całej naszej osobowości.

Angielskie *Stonehenge* stanowi jedno z najbardziej znaczących osiągnięć prehistorycznej inżynierii budowlanej w Europie. Proces budowy trwał wiele lat, obejmując trzy fazy.

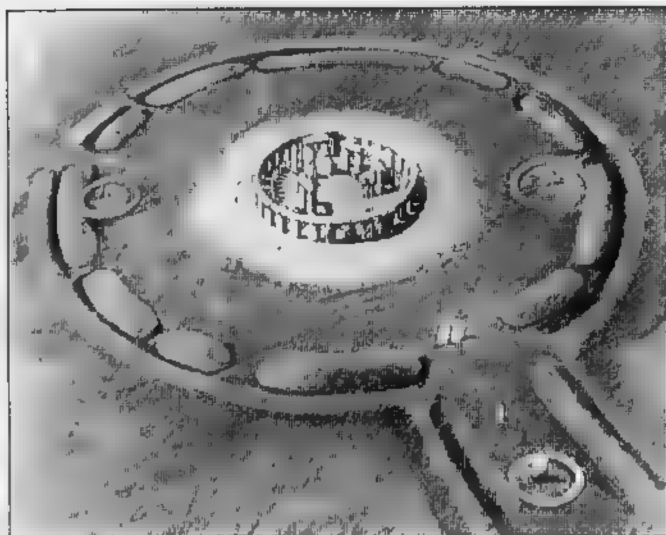
* Ok. r. 3000 przed Chr. powstaje duża kolista budowla ziemna o średnicy wynoszącej ok. 90 m, składająca się z poprzedzonego rowem niskiego obwałowania i zawierająca przyległy do niego wewnętrzny pierścień kilkudziesięciu zagłębień stanowiących zamocowania nieistniejących dziś drewnianych słupów. Budowla ta, mająca dwa wejścia - z jednym zwróconym ku wschodowi słońca w fazie zrównania dnia z nocą, przeznaczona była, prawdopodobnie, na miejsce uroczystych spotkań plemiennych.



Rys. 2. Fragment (Fot. Z. Cywiński)



Rys. 3. Model



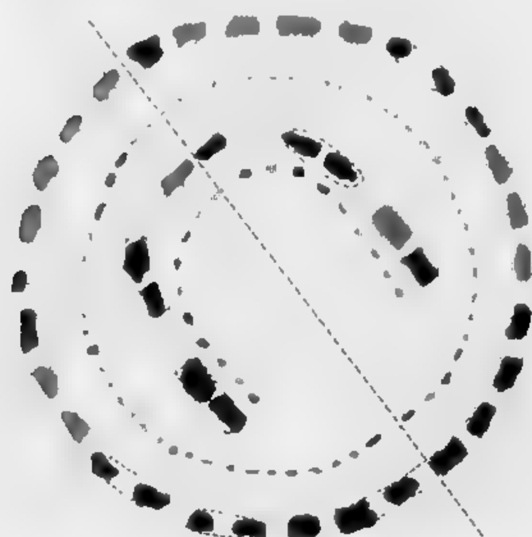
Rys. 5. Rekonstrukcja



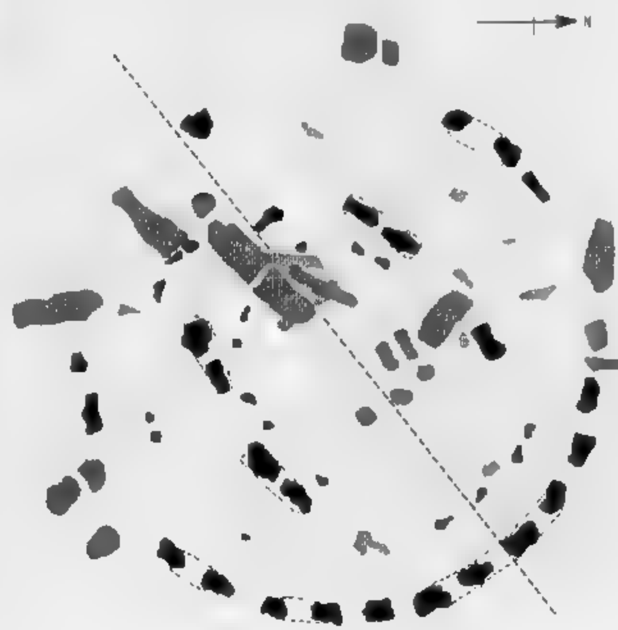
Rys. 4. Kamień kierunkowy przesilenia letniego (Fot. Z. Cywiński)

* W latach 2900-2600 przed Chr. pojawiły się wewnątrz budowli ziemnej i przy jej obu wyjściach dość złożone formy konstrukcji drewnianych, na co wskazują odkrywki wnęk fundamentowych dla drewnianych pali.

* Ustawianie spektakularnej budowli kamiennej w środku tego założenia, mającej charakter świątyni, datowane jest na okres całego tysiąclecia: 2600-1600 przed Chr. Najpierw (2600-2400 przed Chr.) przywieziono z miejsca odległego o ok. 400 km (Preseli Mountain w Walii), głównie - drogą wodną, tzw. "kamienie błękitne", o średniej długości wynoszącej ok. 2 m i wadze ok. 4 ton, rozmieszczając je na planie półksiężyca. Następnie (2400-1600 przed Chr.) wykonano najistotniejszą część budowli kamiennej. Zawierała ona pięć ustawionych w podkowę konstrukcji typu π, składających się każda z dwóch zbieżnych ku górze kamiennych trzonów o wys. ok. 7 m i zwieńczonych u góry kamienną belką, oraz z obejmującej je, nieco niższej, podobnej konstrukcji kolistej, składającej się z 30 trzonów i tyluż koliście wyprofilowanych belek wieńczących; całość była połączona za pomocą odpowiednich czopów i wpustów (rys. 3). Największe bloki kamienne tych konstrukcji (piaskowiec) ważyły ponad 25 ton każdy i zostały przetransportowane drogą lądową z odległego o 30 km miejsca zwanego



Rys. 6. Postać pierwotna



Rys. 7. Postać dzisiejsza

"Marlborough Downs". Równocześnie też przearanżowano ustawienie "kamieni błękitnych". Północno-wschodnie wejście główne zaznaczone zostało za pomocą trzech, później - dwóch, kamieni portalowych; dziś pozostał tylko jeden z nich (obalony), zwany kamieniem ofiarnym. Nieco dalej, w osi drogi procesyjnej, były stojące kamienie zaznaczające kierunek wschodu słonca dla przesilenia letniego; dziś pozostał jeden z nich (rys. 4). Inne kamienie wewnątrz obwałowania wskazują jeszcze na kierunki przesilenia zimowego i cykle księżyca

Budowla Stonehenge w swej najbardziej pełnej i ostatecznej postaci pokazana jest na rys 5, a plany wewnętrznych konstrukcji kamiennych, pierwotny i obecny, uwidocznione są na rys 6 i rys. 7

Osobnym problemem jest sprawa wykonawstwa tej niebanalnej budowli. Kamień obrabiano młotkami kamiennymi i rogowymi, później też - takimiż z brązu, a technologia transportu i wznoszenia opierała się na sile mięśni i zasadach maszyn prostych. Ocenia się, że transport najcięższego bloku kamiennego, na założonej trasie długości 30 km, wymagał równoczesnej pracy 600 ludzi w czasie wynoszącym ok. 1 roku. Do ustawienia takiegoż trzonu kamiennego potrzeba było natomiast pracy 200 ludzi

Co mobilizowało prehistorycznego człowieka do tak wielkiego wysiłku, i to w okresie życia wielu pokoleń? Trzeba powrócić do myśli wyrażonych tu na wstępie. Ówczesny człowiek wiedział i czuł, że jego możliwości są ograniczone, co - znowu później i gdzie indziej - wyrażono słowami: "beze mnie nic nie możecie". Dziś zdajemy się o tym zapominać i dlatego nasze życie jest takie, jakie jest. Może końcowa impresja ilustracyjna Stonehenge, pokazana tu na rys. 8, da nam tak potrzebną chwilę odnośnej refleksji?

Zbigniew Cywiński
Wydział Budownictwa Lądowego



Rys. 8. Impresja filozoficzna

International Conference
Preservation of the Engineering Heritage
- GDAŃSK OUTLOOK 2000
September 7-10, 1999



Tczew, road and railway bridge (Dirschau 1857)

The coming 21st century requires a new understanding of human needs. Presently, it is widely recognised that they are not only material but, increasingly, spiritual in nature. The immaterial comfort of people becomes, more and more, essential - in order to develop friendly cultural landscapes, in a global dimension.

Today, interest for the achievements of past generations - those relevant to engineering representing a certain material echo of their intellectual potential - appears to be one of the most apropriate prerequisites in forming those landscapes.

Accordingly, by analysing the problem of engineering heritage in general, and referring to specific aspects, a corresponding synthesis can be achieved, useful for shaping future policies in the development of human civilization.

The main objective of the International Conference PEH-GO 2000 is to gather the relevant specialists in order to achieve an interdisciplinary overview of current research and to explore the benefits of conserving the engineering heritage for the benefit of present and future generations.

Participants wishing to present a paper are invited to submit an English written Abstract of maximum 500 words, or two pages, including graphics. Three camera ready copies of this Abstract, and the relevant diskette, prepared in accordance with the enclosed instruction, should be submitted to the Conference Secretary in Gdansk, untill **December 31, 1998**

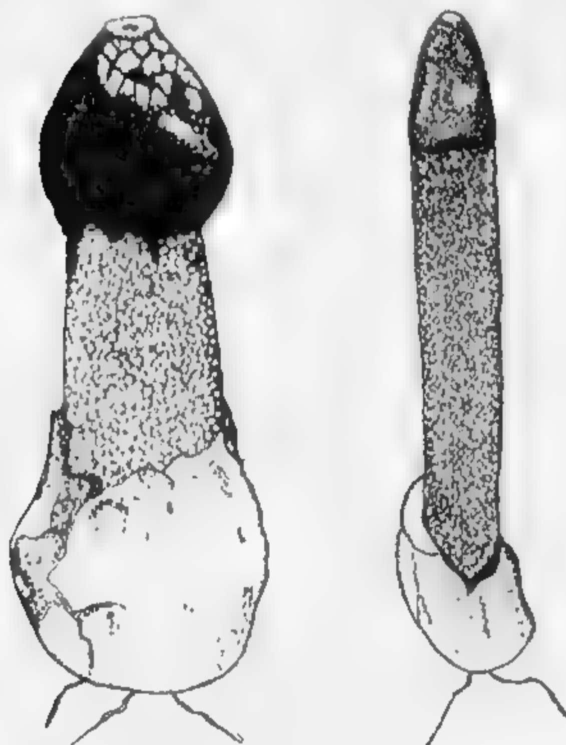
Honorary Patrons: Conservator General of the Republic of Poland, Polish National Commission for UNESCO, Polish National Committee of ICOMOS, President of the City of Gdańsk, Rector of the Technical University of Gdańsk
Conference Co-Chairmen: Prof. Zbigniew CYWIŃSKI, and Prof. Edmund WITTBRODT

Address: PEH-GO 2000 Secretariat
POLITECHNIKA GDAŃSKA
Wydział Budownictwa Lądowego
ul. Narutowicza 11/12, 80-952 GDAŃSK, Poland
tel. fax: (48 58) 347 27 05
E-mail: affew@pg.gda.pl, zcywin@pg.gda.pl
Home page: http://www.pg.gda.pl ~pehgo2000/

GRZYBY NIE Z TEJ ZIEMI

Dla przyrodnika-amatora najbardziej fascynujące są te osiągnięcia ewolucyjne natury, swoiste wynalazki, które umożliwiają różnym organizmom: roślinom, grzybom i zwierzętom, lepsze przystosowanie się do warunków panujących w ich biotopach. Truizmem jest twierdzenie, że taksony lepiej przystosowane do zachodzących zmian, o charakterze naturalnym lub antropogenicznym, mają większe szanse przeżycia, i tym samym powiększają swoje populacje. Poniżej, dla przykładu, zaprezentowałem niektórych przedstawicieli rodzimej i obcej mikoflory, którzy do takich zmian umieli się w różnym stopniu dostosować i obecnie na terenie Polski są w ekspansji. Mam na myśli grzyby tworzące rodzinę sromotnikowatych (*Phallaceae*), a także dwa rzadkie taksony z rodziny okratkowatych (*Clathraceae*). Wygląda na to, że dotychczasowa działalność gospodarcza, m.in. ingerencja człowieka w środowisko lasów, mało przeszkadza, a nawet sprzyja niekiedy tym grzybom. W przetrwaniu pomaga im zwłaszcza pewien oryginalny "wynalazek", polegający na okresowym współżyciu z niektórymi owadami.

Zapewne każdy z Państwa podczas wycieczki do lasu w sezonie letnio-jesiennym napotkał sromotnika bezwstydnego (*Phallus impudicus*). Od innych grzybów wielkoowocnikowych ten interesujący gatunek różni się tym, że dojrzałe owocniki wydzielają niezwykle intensywny zapach rozkładającej się padliny, wyczuwany przez ludzi z odległości 10 metrów, a niekiedy nawet dwukrotnie większej. Młode owocniki, częściowo zagłębione w podłożu, przypominają ptasie jaja i ponoć są jadalne. Jednak ze względu na zaliczenie sromotnika w roku 1983 i ponownie w 1995 do gatunków ściśle chronionych, zabrania się je zbierać lub niszczyć. Na dalszym etapie rozwoju, perydium, czyli trójwarstwowa osłona, zostaje przerwane przez rozprężający się porowato-gąbczasty trzon - receptakl - zakończony kapeluszem. Kapelusz dobrze widoczny jest u dojrzałego owocnika. Składa się z szeregu żeberkowato-dołeczkowatych komór, przypominających plaster miodu i wypełnionych glebą, tj. zgniłozielonym śluzem zawierającym zarodniki.



Sromotnik bezwstydny (Phallus impudicus)

Mądziak psi (Mutinus caninus)

Fetor, wydzielany przez glebę sromotnika, zwabia owady padlinowe muchy, np. plujki i zgniłówki oraz z rodzaju *Lucilia*, niebiesko lśniące pospolite żuki z rodzaju *Geotrupes*, a także ścierwce *Oeceoptoma thoracica* (te ostatnie należą do chrząszczy, choć zdarza się, że początkujący przyrodnicy-amatorzy niesłusznie zaliczają je do pluskwiaków). Wyjadają one całą glebę i wówczas owocniki przypominają wyglądem smardze. Owady przyczyniają się do roznoszenia zarodników (spor), często na duże odległości, co pozwala grzybom zarówno na powiększenie lokalnych populacji, jak i zajmowanie zupełnie nowych obszarów i biotopów. Zjawisko roznoszenia diaspor przez insekty, nazwane entomochorią, jest charakterystyczną cechą u sromotnikowatych oraz okratkowatych, gdyż inne grzyby wyższe w okresie sporulacji rozsiewają zarodniki przede wszystkim za pomocą wiatru - anemochorycznie.

W niektórych rejonach leśnych sromotnik bezwstydny jest tak liczny, że skutecznie wypiera inne gatunki mikoflory, stąd otrzymał przydomek - "leśny chwast". Jest to główny powód, dla którego wielu mikologów uważa za niesłuszne wpisanie tego "smrodliwego grzyba" na listę gatunków ściśle chronionych. Zgodnie z podziałem leśnej mikoflory na 5 odrębnych grup ekologicznych, takson ten należy do saprofitycznych pedobiontów (*pedon* to po grecku "ziemia"), spełniających ważną funkcję w mineralizacji martwej materii organicznej, głównie opadłych liści. Sromotnik, choć traktowany jako gatunek dość pospolity, unika siedlisk jałowych; wyrasta jedynie na glebach próchnicznych, żyznych - zasobnych w składniki pokarmowe.

Ciekawostką są jego właściwości lecznicze, z których od dawna korzysta rosyjska i ukraińska medycyna ludowa. Lekarstwo w postaci wodnych lub alkoholowych nalewek z suszonych owocników aplikuje się w tych krajach przy dolegliwościach gastrycznych, zaś gleba stanowi ponoć skuteczny środek na bóle reumatyczne (patrz: PISMO PG nr 8/95 - *Wielkoowocnikowe grzyby lecznicze*).

Innym przedstawicielem rodziny sromotnikowatych jest mądziak psi (*Mutinus caninus*). Owocniki grzyba przypominają sromotnika bezwstydnego, ale na szczycie nie posiadają charakterystycznych komór. Mają dużo mniejsze wymiary i zwykle ich receptakle są pięknie zabarwione na kolor jasno- lub żółtopomarańczowy. Gleba wydziela mało intensywny fetor, z daleka wyczuwany jedynie przez padlinowe muchy i inne owady roznoszące zarodniki. Częściowo rozwinięte owocniki pachną dość przyjemnie - tytoniem. Gatunek należy do ściółkowych saprofitów i występuje przede wszystkim w dużych lasach liściastych. Krajowa populacja mądziaka psiego nie jest zbyt liczna, ale zaobserwowano, że i on znajduje się w ekspansji, choć stanowiska zlokalizowano przede wszystkim w południowej i zachodniej Polsce.

Na obszarze moich przyrodniczych wycieczek - w Lasach Oliwskich (okolice Trójmiasta) - takson ten obecnie znany jest już z pięciu stanowisk, gdy tymczasem do początku lat 90. nie był tu notowany. Może niewielkie ocieplenie klimatu i szereg ciepłych okresów wiosenno-letnich przyczyniło się do zasiedlenia wspomnianego rejonu przez ten gatunek, bowiem mądziak psi zaliczany jest do grzybów ciepłolubnych (termofilnych). Największy znaleziony przeze mnie owocnik mierzył 15,5 cm wysokości, ale - podobnie jak i większość innych

okazów - tuż po osiągnięciu pełnej dojrzałości przewrócił się i w ciągu dwóch dni został całkowicie rozłożony przez ściółkowe roztocze.

Gatunkiem bardzo rzadko spotykanym w Polsce jest sromotnik fiołkowy (*Phallus hadriani*). Nazwa gatunku wiąże się z kolorem owocników. Zaliczany jest do organizmów psammofilnych, gdyż występuje na piaskach, głównie wzdłuż wybrzeża Bałtyku oraz na nielicznych stanowiskach w głębi lądu, np. w okolicach Warszawy. Prowadzi pasożytniczy tryb życia, opanowując wydmowe trawy, m.in. piaskownicę zwyczajną (*Ammophila arenaria*). Owocniki w stadium dojrzałym wydzielają zapach kwaśnego rozczynu chlebowego, ale o mniejszej intensywności niż u sromotnika bezwstydnego. W rejonie Trójmiasta sromotnika fiołkowego napotkano rok temu w pobliżu ujścia Wisły na Wyspie Sobieszewskiej (informacja ustna).



Okratek czerwony (Clathrus ruber).

Być może ocieplenie klimatu było przyczyną zasiedlenia niektórych rejonów naszego kraju przez trzy gatunki egzotyczne: mądziaka malinowego (*Mutinus ravenelii*) oraz przedstawicieli rodziny okratkowatych - okratka czerwonego (*Clathrus ruber*) i okratka australijskiego (*C. archeri*). Wymieniony powyżej mądziak malinowy został odnaleziony na Górnym Śląsku, w Parku Chorzowskim, w Warszawie i kilku innych miejscowościach. Owocniki wyrastają w lasach oraz wśród zarośli na glebie humusowej. Nazwa gatunku wywodzi się od malinowego koloru płodnej części grzyba pokrytej glebą, która wydziela dość intensywny zapach zgniłej kapusty. Bardzo rzadkiego okratka czerwonego napotkano dotychczas dwukrotnie: w Lesku oraz Szczecinie, ostatnio również na Pojezierzu Kaszubskim (informacja ustna). Dojrzały, krwistoczerwony owocnik przypomina kształtem jajo z licznymi wycięciami, tworzącymi rodzaj kraty. Gleba wydziela silny zapach padliny. Do Polski zawitał również okratek australijski; grzyb nazywany jest inaczej kwiatowcem australijskim. Dojrzały owocnik składa się z intensywnie różowego trzonu i 5-8 czerwonopomarańczowych ramion, rozkładających się na kształt gwiazdy lub kwiatu - stąd nazwa. Gleba, występująca po wewnętrznej stronie ramion, wytwarza nieprzyjemny zapach zgniłej rzodkwi. Grzyb napotkano w Górach Sowich, w okolicach Gorlic i Szczawnicy, koło Biłgoraja, ostatnio także pod Żywcem i Łebą.

Na liście grzybowych egzotów znalazła się także sromotnica dwoista (*Dictyophora duplicata*). Choć pochodzi z rejonu tropików, to jej obecność odnotowano w krajach Europy Środkowej, także w Polsce - w roku 1935 na Śląsku. Gatunek ten różni się od sromotnika bezwstydnego obecnością induzjum, czyli rodzajem krynoliny lub woalu - widać to na zamieszczonym rysunku. Ten niezwykły element owocnika - woal - był powodem nadania sromotnicy nazwy: "dama w woalu (welonie lub krynolinie)". Podobnie wygląda sromotnica *D. indusiata* ze strefy tropików, nie występująca w Europie. Znaczek z wizerunkiem tego grzyba wydała poczta Zairu. Na pewnym etapie rozwoju grzyby te biją rekord świata we wzroście: ok. 5 mm/min. Co ciekawe, gwałtowny wzrost owocników, tak jak u innych sromotnikowatych, następuje tuż nad ranem. Wysuwaniu induzjum spod kapelusza towarzyszy słaby trzask, a na dodatek grzyby świecą w ciemności; jest to znane u innych organizmów zjawisko bioluminescencji. Nie muszę chyba przypominać, że nasza "zawoalowana dama" wydziela także intensywny zapach, gdyż i tu mamy do czynienia z entomochorią.

*

Na koniec nasunęła mi się refleksja. Na przykładzie grzybów z rodziny sromotnikowatych widać, jak względne jest w przyrodzie pojęcie piękna, a także atrakcyjności w dziedzinie zapachów. Dla nas, ludzi, woń emitowana przez te grzyby jest niemiła i określana terminami o znaczeniu pejoratywnym: odór, fetor lub smród. Dla wielu owadów odwrotnie - woń ta jest atraktantem, który je wabi i ułatwia zdobycie pożywienia w postaci śluzowatej gleby. Oczywiście - nic za darmo, owady są za to roznosicielami zarodników. Na przyrodę powinniśmy zatem patrzeć nieco szerzej, bez uprzedzeń, i oceniać ją nie tylko na podstawie kategorii estetycznych, funkcjonujących od dawna w naszej kulturze.

Sądzę, że grzyby sromotnikowate i okratkowate ze względu chociażby na ważną funkcję reducenta (destruenta), pełnioną przez nie, m.in. w leśnych ekosystemach, oraz dzięki ich interesującej i niezwykłej biologii - zostaną ze strony Państwa obdarzone właściwym szacunkiem i pozostaną nietknięte w swoich naturalnych biotopach. Wpisanie niektórych tych "grzybów nie z tej Ziemi" na polską listę roślin z całkowitą ochroną*, to nic innego jak próba ich ocalenia. Przypomnę, że krajowa lista grzybów ściśle chronionych zawiera 21 pozycji. Obecny stan wiedzy nie pozwala nam ocenić roli, jaką mogą one odegrać w przyszłości, tak jak i inne organizmy chronione, ginące. A może obecność tych zagrożonych taksonów stanowi jeden z warunków przetrwania ludzkości?

I jeszcze jedna uwaga: umieszczanie grzybów w obrębie królestwa roślin to stare przyzwyczajenie, przeżytek; organizmy te, zgodnie z najnowszym podziałem systematycznym, tworzą odrębne królestwo - *Fungi (Mycobianta)*.

* Rozporządzenie Ministra Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa z dnia 6 kwietnia 1995 r. w sprawie ochrony gatunkowej roślin.

Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny
Rysunki autora



Sromotnica dwoista (Dictyophora duplicata) wg Müllera i Fishera, 1900 r.



Sromotnica (Dictyophora indusiata), rysunek na podstawie znaczka pocztowego z Zairu

WYDARZENIA

5-6.06.1998 r. Gdańsk. Ogólnopolska Konferencja LOKOMOCJA '98, zorganizowana przez Centrum Badań Lokomocji (Akademia Wychowania Fizycznego w Gdańsku, Akademia Medyczna w Gdańsku); członkiem komitetu honorowego był prof. Edmund Wittbrodt z Wydziału Mechanicznego PG.

17.06.1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr Anny Drapińskiej, Wydział Zarządzania i Ekonomii Politechniki Gdańskiej, pt. "Marketing w firmach prawniczych i konsultingowych. Analiza porównawcza firm polskich i angielskich"; promotorem pracy był prof. Piotr Dominiak, Wydział Zarządzania i Ekonomii PG.

18-20.06.1998 r. Politechnika Gdańska. Kurs "Zagrożenia elektromagnetyczne w szpitalach" zorganizowany przez Katedrę Elektroniki Medycznej i Ekologicznej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej pod kierunkiem prof. Antoniego Nowakowskiego.

25-27.06.1998 r. Politechnika Gdańska. Kurs "Kompatybilność elektromagnetyczna sprzętu medycznego" zorganizowany przez Katedrę Elektroniki Medycznej i Ekologicznej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki PG pod kierunkiem prof. Antoniego Nowakowskiego.

Lipiec 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Bernarda Quanta z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Sylikatyzacja popiołów lotnych i fosfogipsów - bezpieczna dla środowiska metoda utylizacji odpadów".

Lipiec 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr. inż. Janusza Czarneckiego, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Geodynamika brzegów klifowych w Jastrzebiej Górze i Dębnie k. Ustki"; promotorem pracy był prof. Wiesław Subotowicz.

6-9.07.1998 r. Berlin (Niemcy). Trzecia Światowa Konferencja "Zintegrowane projektowanie i technologia produkcji" obejmująca: ASME Engineering Systems Design and Analysis Conference (ESDA), IEEE International Conference on Systems Integration.; prof. Edmund Wittbrodt, z Wydziału Mechanicznego PG, był członkiem komitetu programowego.

Wrzesień 1998 r. Miszkolc (Węgry). Polsko-węgiersko-niemieckie seminarium w zakresie technologii obróbki wykańczającej zorganizowane przy współudziale Katedry Technologii Maszyn i Automatyzacji Produkcji Wydziału Mechanicznego PG.

9-12.09.1998 r. Gdańsk-Jelitkowo. XI Ogólnopolska Konferencja "Kryształy molekularne '98" zorganizowana przez Wydział Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej PG; przewodniczącym komitetu organizacyjnego był prof. Jan Kalinowski.

13-16.09.1998 r. Jurata. Coroczna międzynarodowa konferencja "Combustion Engines - KONES 98" dotycząca zagadnień rozwoju i eksploatacji silników spalinowych; współorganizatorami konferencji byli: Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni, BIMET, Instytut Lotnictwa w Warszawie oraz Wydział Mechaniczny PG.

15-18.09.1998 r. Politechnika Gdańska. Krajowy Kongres Metrologii KKM '98 zorganizowany przez Katedrę Miernictwa Elektronicznego i Katedrę Aparatury Pomiarowej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki PG; przewodniczącym komitetu organizacyjnego był prof. Romuald Zielonko, kierownik Katedry Miernictwa Elektronicznego.

25-27.09.1998 r. Jastrzębia Góra. Seminarium naukowe pt. "Gospodarka Polski w okresie transformacji" zorganizowana przez Katedrę Ekonomii i Zarządzania Przedsiębiorstwem Wydziału Zarządzania i Ekonomii PG.

25-27.09.1998 r. Jastrzębia Góra. Seminarium naukowe pt. "Edukacja menedżerska a społeczne i prawne otoczenie biznesu" zorganizowana przez Katedrę Politologii i Socjologii Wydziału Zarządzania i Ekonomii PG.

Październik 1998 r. Politechnika Gdańska. Seminarium nt. portu we Władysławowie organizowane przez Katedrę Budownictwa Morskiego Wydziału Inżynierii Środowiska; przewodniczącym komitetu organizacynnego jest prof. dr hab. inż. Bolesław Mazurkiewicz.

ZAPOWIEDZI

Październik 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr inż. Barbary Wikieł, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Analiza procesów samoorganizacji przepływu materiałów rozdrobnionych"; promotorem pracy jest prof. Zbigniew Sikora.

12.10.1998 r. Politechnika Gdańska. Sympozjum pt. "Oczyszczanie wody i ścieków oraz unieszkodliwianie odpadów" organizowane przez Katedrę Technologii Wody i Ścieków Wydziału Inżynierii Środowiska; przewodniczącą komitetu organizacynnego jest dr hab. inż. Krystyna Olańczuk-Neyman.

12-14.10.1998 r. Gdańsk - Jurata. VI konferencja "Konstrukcje powłokowe - teoria i zastosowania SSTA '98" organizowana przez Katedrę Mechaniki Budowli Wydziału Budownictwa Lądowego PG; komitetowi organizacyjnemu przewodniczą: dr inż. Czesław Branicki oraz dr hab. inż. Jacek Chróścielewski.

21-24.10.1998 r. Stralsund (Niemcy). IV Międzynarodowe Sympozjum "Nauka dla praktyki" *Forshung, Didaktik und Praxis im modern Maschinenbau* organizowane naprzemiennie przez wydziały mechaniczne Politechniki Gdańskiej, Hochschule Bremen i Fachhochschule Stralsund; Sympozjum (ósme z kolei) stanowi kontynuację seminariów *Wissenschaft für die Praxis* organizowanych przez wyżej wymienione uczelnie; bliższe informacje: dr hab. inż. J. Cieśliński, tel. (48 58) 347 16 22.

26-28.10.1998 r. Politechnika Gdańska. Duńsko-polska konferencja "Biopaliwa" organizowana przez Katedrę Inżynierii Sanitarnej Wydziału Inżynierii Środowiska PG; przewodniczącym komitetu organizacyjnego jest prof. dr hab. inż. Piotr Kowalik.

Listopad 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Ryszarda Orłowskiego z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Modelowanie matematyczne przepływów ustalonych w systemach wodociągowych".

5-6.11.1998 r. Gdańsk. III Krajowa Konferencja Użytkowników Oprogramowania MSC, organizowana przez: CTO Gdańsk oraz FAA Warszawa; członkiem komitetu programowego jest prof. Edmund Wittbrodt z Wydziału Mechanicznego PG.

26-27.11.1998 r. Politechnika Gdańska. II Ogólnopolskie Seminarium Naukowe Studentów i Młodych Inżynierów Mechaników organizowane przez Koło Naukowe MECHANIK Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej; tematem przewodnim seminarium będzie rynkowe zorientowanie inżyniera produkcji "od rynku do produktu i procesów".

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Adama Bolta z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Modelowanie posadowień fundamentów konstrukcji wsporczych".

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Romana Wichowskiego z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Analiza przepływów nieustalonych w sieciach wodociagowych pierścieniowych".

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr. inż. Adama Krasińskiego, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Analiza nośności fundamentów głębokich obciążonych siłami poziomymi w sprężysto-plastycznym ośrodku gruntowym"; promotorem pracy jest prof. Andrzej Tejchman.

9-11.12.1998 r. Rynia. II Konferencja Naukowo-Techniczna "Odporność udarowa konstrukcji" organizowana przez Polską Akademię Nauk, Wojskową Akademię Techniczną oraz Akademię Marynarki Wojennej; wiceprzewodniczącym komitetu naukowego jest prof. Edmund Wittbrodt z Wydziału Mechanicznego PG.

7-10.09.1999 r. Politechnika Gdańska. Międzynarodowa konferencja na temat zachowania dziedzictwa inżynierii pod nazwą "Preservation of the Engineering Heritage - Gdańsk Outlook 2000" organizowana przez Wydział Budownictwa Lądowego PG; Komitetowi Konferencji przewodniczą: prof. Zbigniew Cywiński (WBL) i prof. Edmund Wittbrodt (WM).

Opracowanie: Janina Poćwiardowska

Zespół ds. Informacji i Promocji

Zjazd Klubów Seniora uczelni technicznych
29-30 czerwca br.





Fot. J. Chmielowiec

Otwarcie obrad Zjazdu

IV Międzynarodowy Kongres SHP "Nauka i gospodarka" w Politechnice Gdańskiej, czerwiec 1998 r.



Uczerstnicy IV Międzynarodowego Kongresu Societas Humboldtiana Polonorum



Prof. Waldemar Pfeiffer, przewodniczący Zarządu Głównego SHP, odznacza prof. Aleksandra Kołodziejczyka, rektora PG, Medalem Societas Humboldtiana Polonorum



Prof. Reimar Lüst, prezydent Fundacji Alexander von Humboldt, otrzymuje z rąk prof. Aleksandra Kołodziejczyka, rektora PG, Medal za Zasługi dla Politechniki Gdańskiej



fot. J. Chmielowiec